

PISMA
JULIANA MOERS Z PORADOWA

TOM VII

DRAMATY

SAVONAROLA

DANIEL

W A R S Z A W A 1 9 3 7

NAKŁADEM KASY POŻYCZK. - WKŁAD. ARTYSTÓW
I PRACOWNIKÓW B. TEATRÓW MIEJSK. W WARSZAWIE
SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI F. HOESICKA



32.211/7

SAVONAROLA

OBRAZ DRAMATYCZNY
Z DZIEJÓW FLORENCYI 1493

W SZEŚCIU AKTACH.

Wszelkie prawo przedruku oraz wystawiania na scenie zastrzeżone

Druk. B-ci Drapczyńskich, Warszawa, Piusa XI 15.

Alc. 18.389

OSOBY:

HIERONIM SAVONAROLA, przeor klasztoru San Marko.

LUDWIK SFORZA, książę Medyolanu.

KSIĘŻNA.

LEONARDO DA VINCI.

SEMENCIO.

KARDYNAŁ MEDYCEUSZ.

FRA LAURO, generał Dominikanów, sekretarz Papieża.

FRA SILVESTRO.

FRA DOMENICO.

FRA BENEDETTO.

DOWÓDZCA HALABARDNIKÓW BARGELLA.

GUIDO VESPUCCI.

LORENZO TORNABUONI.

ALEKSANDER TORNABUONI.

FRANCISZEK VALORI.

LENA.

KATARZYNA.

ARABELLA.

MARIETTA, służąca Arabelli.

MARSILIO TICINO.

KS. PICO DELLA MIRANDOLLA.

BOTICELLI.

POPOLESCHI.

BACCIO DELLA PORTA (FRA BARTOLOMEO).

DAVANZATI.

D'ANTELLO.

NICCOLINI.

GIOVACHIMO.

CREDI.

DOFFO SPINI.

BINI.

MAGGIOR DOMO TORNABUONICH.
ASTROLOG.
GENIUSZ.

Zakonnicy, zakonnice, hrabiowie, baronowie, halabardnicy,
szlachta, kobiety, lud.

MOTTO:

LEONTIUS.

Verbrennen lass ich dich.

PAOLINA.

Was kümerts mich?

Der mich ins Feuer wirft

Der ich der Kätzer, nicht wer drinnen brennt.

S z e k s p i r: Das Wintermärchen.
(Akt II, scena III).

AKT PIERWSZY

SCENA I.

W Medyolanie; sala na zamku książęcym. Na prawo okna, w głębi małe drzwi; na prawo ku przodowi sceny duży i piękny stół na którym rozrzucone kartony. Przy stole krzesło z wysoką poręczą pięknie rzeźbioną, z koroną książęcą u góry, dla księcia; kilka krzeseł mniejszych — drzwi na prawo nicco w głębi. — Naprzeciw wieża, w głębi drzwi wchodowe. Sala ozdobiona freskami, kosztownymi draperyami, przedmiotami sztuki i roślinami. Przy oknie DWÓCH BARONÓW; przy stole stoi LEONARDO DA VINCI, którego otacza, oglądając jego kartony, KILKU HRABIÓW.

PIERWSZY HRABIA (do Leonarda).

Cudowna kompozycja! Każda głowa
Zda się przemawia. Onego Tomasza
Widziałem, znam go...

LEONARDO (z uśmiechem).

Tomaszów jest wielu...

DRUGI HRABIA.

Głowy są żywe! Lecz patrz też na ręce:
Jaka to studyów ścisłość i głębokość!
Gest każdy mówi — i do każdej twarzy
Zastosowana ręka.

PIERWSZY HRABIA.

Tylko jedna
Twarz jakby mgłą osłonięta, Chrystusa.

LEONARDO.

Zbawca nie raczy zstąpić do mej duszy,
Nie masz miłości na tej ziemi wzoru.

PIERWSZY BARON (przy oknie).

Książę powrócił, zsiadł z konia, wnet wejdzie.

PIERWSZY BARON.

(do hrabiów, którzy się zbliżają do okna).

A więc w pamięci odśwież twoją mowę,
W obronie naszych praw.

PIERWSZY BARON.

Coś zająć musiało,

Nasz władca gniewny.

PIERWSZY HRABIA (do innych).

Odejdziemy z niczem.

SCENA II.

Ciż, wchodzi Ludwik, gniewny, chmurny, trzyma w ręku
zmięty papier. za nim kilku dworzan; obecni witają go
ukłonem.

LUDWIK.

(do obecnych hrabiów i baronów).

Nie mam dziś czasu, wybaczcie panowie.

(do Leonarda)

Powracam z della Grazie; Przeor gniewny,
W rozpaczy mnichy. Twoje rusztowania
Refektarz zawałają, a ty już od roku
Nie byłeś u nich!

LEONARDO.

Jeden dzień nie minie
Bym nie pracował nad moim obrazem.

LUDWIK.

Pracujesz dziwnie, mówią iż dnie całe
Wąłęsz się po mieście.

LEONARDO.

Szukam wzoru.

LUDWIK (opryskliwie).

Wzoru do czego?

LEONARDO.

Na głowę Judasza.

(patrzy uważnie na księcia).

LUDWIK (hamując gniew).

Staraj się skończysz obraz do miesiąca,
Albo zabielić każe.

LEONARDO.

(zbiera kartony, kłaniając się).

Wolna wola. (chce odejść).

LUDWIK.

Wstrzymaj się mistrzu. Mam przykrości wiele,
Stąd niecierpliwy jestem. Ja cię proszę
Dokończ Wieczersę, — to jest arcydzieło!
Kiedy ją skończysz?

LEONARDO.

Jak mi się spodoba.

(kłania się i wychodzi).

SCENA III.

Ciż, prócz Leonarda.

LUDWIK.

(patrzając za odchodzącym do obecnych).

Myśmy li cienie, a to są książęta!
Proszę wybaczyć, do jutra panowie...
Dziś mam spraw wiele niecierpiących zwłoki...
(obecni żegnają go ukłonem i wychodzą).

SCENA IV.

LUDWIK sam, usiadł, rozłożył papier, czyta, dzwoni, wchodzi SEMENCIO przez małe drzwiczki na lewo.

LUDWIK (do Semencia).

Widzisz ten papier? Własną ręką zdarłem
Z drzwi pałacowych... Kto go przybił?

SEMENCIO (drżący).

Książę...

LUDWIK.

Kto go przybił, pytam? — Wzorowe straże,
I dobra czujność twoja, by w dzień biały
Śmiano znieważać mnie w moim pałacu!
Poznajesz pismo?

SEMENCIO.

Nie znam książę. — Jednak...
Tu niema żadnej osobistej wzmianki:
Uwagi luźne o władcach, despotach,
Wogóle...

LUDWIK.

Próżno ślepego udajesz.
Czyliż by mi na drzwiach przybito, gdyby
Nie miano mnie na myśli? Kto to pisał?
Nie poznajesz ze stylu?

SEMENCIO.

Sądzę, ustęp
Jest z kazania Hieronima z Ferrary,
Przeora Dominikanów San Marko,
Czyli Savonaroli.

LUDWIK.

(uderzając pięścią w stół).

Ha! przekleństwo!
Ten mnich zuchwały waży się publicznie
Z swej kazalnicy, na książęce głowy
Pociski miotać? Ten szaleniec sądzi,
Iż ona trzoda, co się ludźmi zowie,

Kierować można słodyczą baranka!

(z ironią i z uśmiechem)

Baranki ludek kochany pożera...

Mnich aż tu sięga... (do Semencia)

Natychmiast uwieźć

Wszystkich, co mają stosunki z San Marko.

SEMENCIO.

Księżna tam słała listy...

LUDWIK.

Milcz! Podwoić

Straż w bramach miasta i przetrząść każdego

Co do miasta przybywa. Tu być muszą

Tajni agenci, z Florencją konszachty...

Wszystko wysledzić musisz do wieczoru...

Czekam na raport...

SEMENCIO.

Wszelkich sił dołożę.

LUDWIK.

Powiedz kardynałowi de Medici,

Iż czekam nań. — Raz jeszcze ci polecam

Największą czujność i żadnej słabości...

Spiskowców głowy, albo twoja spadnie.

(Semencio, kłaniając się raz po raz, odchodzi).

SCENA V.

LUDWIK (sam).

Hydra wolności znów podnosi głowę,

Ni ją utopić w czarnej krwi potoku,

Ni ją przywalić więziennem sklepieniem,

Ani ugłaskać miodowemi słowy...

Co chce ten naród? Wszak porządek w mieście,

Zarobek mają i mają zabawy.

Że słuchać muszą bez krzyku i zgietku,

I że krzykacze znikają pod ziemią,

To jedno chyba zarzucić mi mogą...
Ale inaczej nie podobna władać!
W Medyolanie jam lud ukołysał,
Aż ów mnich nędzny na nowo zarzewie
Buntu rozdmuchać chce, sądzi iż płomień
Stopi nam mitry książęce na skroni!...
Ha! ha! swobodo! jest silna dłoń moja,
Co wszystkie głowy Hydry zmiażdżyć zdoła...
Savonarola swobód promotorem;
By wolność zdusić, trzeba by on zginał,
I zginie! Przezeń rządzona Florencya,
Pociąga wzorem swym Italii miasta,
I podwaliny przyszłości zakłada
Innej, niż owa, którą pragnę stworzyć.

SCENA VI.

LUDWIK i KARDYNAŁ MEDYCEUSZ, witają się. —
Ludwik wskazuje Kardynałowi fotel obok siebie.

KARDYNAŁ (siadając).
Wczoraj mnie, książę, słuchać nie raczyłeś,
A dziś mnie wzywasz.

LUDWIK.
Noc przynosi radę:
Co się przy świetle dziennem trudnem zdaje.
Wśród nocnej ciszy inną postać bierze;
Myśli jak ludzie, rodzą się wśród nocy.

KARDYNAŁ.
Ciesz się mnie, książę, żeś odmienił zdanie
O moim bracie.

LUDWIK.
O! odmienić zdanie
O księciu Piotrze, niepodobna zgoła!
Na to potrzeba, by on przeszłość zmienił.
I znikły fakta iż ów książę oddał
Sarzanę Frankom, Florencję ludowi.

KARDYNAŁ.

Okoliczności...

LUDWIK.

Niech nie tyka władzy
Ten, co nie zdoła wedle myśli swojej
Kierować wypadkami.

KARDYNAŁ.

Umiejętność
Ta nie każdemu dana. Wtem jedynie
Jest Ludwik Sworza mistrzem, więc do ciebie
My się po radę udajem.

LUDWIK.

Ba radzić
Książętom, co się wygnać dali, wierzaj,
Herkulesowe zadanie, bo takim
Brak najważniejszej rzeczy.

KARDYNAŁ.

Złota?

LUDWIK.

Głowy!
KARDYNAŁ.
Medyceuszom zarzut taki!

LUDWIK.

Tylko
Do księcia Piotra stosują, — dla ciebie
Bym się nie wahał, bo wiem, eminencyo,
Iż godnie szedłbyś w Wspaniałego ślady,
Ale Piotr brat twój, skapy, to rozrzutny,
Nie baczy komu tajemnice zwierza,
I dla kaprysów chwili, zniechęciwszy
Posiadających jego tajemnice
Nie każe zgładzić.

KARDYNAŁ.

To nie zawsze można
Na obcej ziemi...



LUDWIK.

Czyżby?! By powrócić
Módz do Florencyi, na co dziś liczycie?

KARDYNAŁ.

Żołnierza mamy do czterech tysięcy
I licznych zwolenników wśród mieszczaństwa
Znudzonych rządem mnicha, oraz butą
Soderiniego i innych... a jeszcze
I wpływem Valori'ego.

LUDWIK.

Mieć jednego
Wolą, niż licznych władców. Jednak radzę
Wyprawę zbrojną na teraz zaniechać.
Jeszcze nie pora. Dam księciu pożyczkę.
Byście jednali stronników w Florencyi
I podkopali władzę Hieronima.

SCENA VII.

Ciż, z drzwi bocznych wchodzi SEMENCIO z pakietem
opieczętowanym w rękę; na widok Kardynała wstrzymuje
się i wzrokiem pyta księcia; Ludwik wstaje i podchodzi
ku niemu, bierze papiery i staje przy oknie na lewo, tak,
iż śledzący go Kardynał nie może widzieć jego twarzy.

LUDWIK (do Kardynała).

Wybaczyć chciej, eminencyo, mój sekretarz
Przynosi wieści na które czekałem.

KARDYNAŁ (do siebie).

O! o, tu się nie śpi na różach...

SEMENCIO.

(do Ludwika, oddając pakiet).

Goniec z Florencyi spieszył oddać pakiet
Gońcowi z Niemiec.

LUDWIK (biorąc papiery).

Od kogo?

SEMENCIO.

Z San Marko.

LUDWIK.

Gdzież jest ów goniec?

SEMENCIO.

Ujęty, rozpacznie
Bronił się i w walce poległ.

LUDWIK.

A głupcy!
Zabijać gońca! Wielkiej wagi jednak
Muszą być pisma, skoro ich tak bronili...
(rozrywa pieczęć)

Savonaroli listy do cesarza
I króla Francyi... Co on pisać może?
(czyta)

„Obwołać sobór — innego papieża
Obrać i Borgiów usunąć skandale...“
Ten mnich oszalał!
Myśl wielka, myśl śmiała.
Myśl chrześcijańska, lecz me plany psuje.
Nieocenione listy! Hardy mnichu,
W mem ręku jesteś! Weźmie je kardynał
Hieronim, z żywych wymazan szeregu.

SCENA VIII.

Ciż, KSIEŻNA wchodzi z drzwi na prawo.

KSIEŻNA (rozradowana).

Nasz syn ocalon! Czy słyszysz, Ludwiku,
Niebezpieczeństwo przeszło, jak obiecał
Ojciec Hieronim. Usnęła dziecina
O tej godzinie właśnie, kiedy święty
Przeor z San Marko modły zań odmawia.
Od dni dziewięciu dziś koniec nowenny.

LUDWIK.

(kładąc pakiet na stole, do siebie).

Za dziecko moje modlił się w tej chwili...

KSIEŻNA.

Ty się nie cieszysz? Porzuć państwa sprawy.
Bądź chociaż chwilę ojcem! O, w uśmiechu
Dziecka jest więcej szczęścia, niż dać mogą
Wszystkie korony świata.

LUDWIK.

(z pobłażliwym uśmiechem).

Tak dla matki!

Oboje, księżno, jedną miłość mamy
Dla dzieci naszych, trudy nie jednakie;
Ty główkę chorą ochładzasz i tulisz,
Ja myślę by jej nie zbrakło korony.
Idź, miła księżno; załatwiwszy sprawy,
Uścisnąć pójdę syna.

(Księżna z niepokojem spogląda kolejno na męża, Kardynała, Semencia i papiery).

KSIEŻNA.

(zbliża się do księcia i kładzie mu rękę na ramieniu).

Jeszcze słowo...

Wdzięczności mamy dług dla Hieronima,
On słał nam leki, odprowadzał nowenny,
On nam uleczył i powrócił syna.
Ludwiku, będziesz się starał okazać
Twą wdzięczność?

LUDWIK (spuszczając oczy).

Ile będzie w mojej mocy.

KSIEŻNA.

Ty możesz wiele, lecz mąż świątobliwy
Nie potrzebuje dóbr ziemskich.

(cicho i błagalnie)

Przynajmniej

Nie ślij nań zbirów.

LUDWIK.

Księżno!?

KSIEŻNA.

Jego życiu

Już nie zagrażaj! Na niewdzięcznych spada
Grom Bożej kary... a my... mamy dzieci!

LUDWIK.

Co ty śmiesz mówić? Skąd to przypuszczenie,
Abym ja zbirów?... Kto ci to powiedział?

KSIEŻNA (cicho).

Tys sam mi mówił...

LUDWIK.

W uniesienia chwili

Mówi się czasem rzeczy... Dość, przyrzekam,
Iż wszelkich starań dołożę by wynieść
I wynagrodzić Ojca Hieronima,
Jak zasługują jego czyny...

KSIEŻNA.

Dzięki!

(odchodząc, do siebie).

Straszny ten mąż mój, każde jego słowo
Jak zimny sztylet me serce przeszywa,
Zmiłuj się Boże nad nim i nad nami.

(wychodzi na prawo).

SCENA IX.

Ciż, prócz KSIEŻNY

KARDYNAŁ (wstając).

Czy masz mi, książe, co więcej powiedzieć?

LUDWIK.

Racz, eminencyo, wybaczyć! Moja żona
Wieść mi przyniosła, iż syn nasz najstarszy
Śmiertelnie chory, którego już miałem
Za straconego, do zdrowia powrócił.

KARDYNAŁ.

Podzielam radość księztwa i rozumiem
Siłę rodzinnych uczuć. Zaraz spieszę
Do brata mego ażeby w czas jeszcze
Wstrzymać od zbrojnych go kroków.

LUDWIK.

Najszczerzej
Życzę Piotrowi powrotu do władzy.

KARDYNAŁ.

Dzięki raz jeszcze za pomoc i radę.
(wychodzi).

SCENA X.

LUDWIK, SEMENCIO nieco w głębi.

LUDWIK (do siebie).

A to fatalność! Co począć? Co począć?
Księżna przez swoją zabobonną wiarę
W cuda i modły, krępuje mi ręce...
Dla niej on święty. Nie wie, iż ten święty
Nietylko Borgiów lecz mnie może zwalić...
Semencio!

SEMENCIO.

Jestem.

LUDWIK.

Czy tu nie ma kogo
Z agentów tajnych księcia Valentinois?

SEMENCIO.

Jest tu Fra Lauro i już od dni kilku
O posłuchanie prosi.

LUDWIK.

Co za jeden
Ów Frate Lauro?

SEMENCIO (cierpliwie).

Mnich. Dominikanin.

LUDWIK.

To wiem, lecz pytam ciebie jaki człowiek?

SEMENCIO.

Człowiek w nim zamarł, jeżeli był kiedy...
Erudyt, mowca — zresztą habit mniszy
Nadziany nienawiścią.

LUDWIK.

Mądry?

SEMENCIO.

Chytry.

LUDWIK.

Więc powiedz mu, by przyszedł tu niezwłocznie.
(Semencio odchodzi).

SCENA XI.

LUDWIK (sam).

Niewiasty sądzą, iż władając państwem
Można za serca iść popędem. Władza
Dla nas, co dyadem mamy ani z łaski
Bożej, ani z wyboru narodu,
A tylko siłą, lub raczej podstępem
Zdobyty, trudna jest do utrzymania,
I jedną tylko rękojmnią pewności,
Plebs trzymać grozą, tak jak na łańcuchu
Zwykle się trzyma zażarte brytany.
Spuścić z łańcucha — wnet na nas się rzuci.

SCENA XII.

LUDWIK. — FRA LAURO wchodzi przez drzwi główne;
układny, pokorny, ręce na piersiach złożone.

FRA LAURO.

Pokój temu domowi...

LUDWIK.

(zwraca się ku niemu).

Co to? Święty?...

FRA LAURO.

Z przyzwyczajenia.

LUDWIK.

Hm! człowiek pobożny

W usługach Cezara Borgii?

FRA LAURO.

(wznosząc oczy w górę).

Na każdym

Miejsu i zawsze można Bogu służyć.

LUDWIK (patrzając nań).

Dobry. — Takiego właśnie mi potrzeba.

Usiądź. Fra Lauro, — wszak tak się nazywasz?

FRA LAURO.

Generał Dominikanów, sekretarz
Jego Świętobliwości.

LUDWIK.

O! persona!

Mam wolną chwilę, pogadać możemy...
Z czymże to książę Cezar cię przysyła?

FRA LAURO.

Mój książę pragnie nawiązać poufne
Praktyki z pierwszym dzisiaj dyplomatą
I gwiazdą rodu Sforzów.

LUDWIK.

Bez metafor,

Praktyki jakież cel?

FRA LAURO.

Alians w przyszłości.

LUDWIK.

Przeciwko komu?

FRA LAURO.

Przeciw drobnym księstwom
I republikom włoskim, — by półwysp
Podzielić na dwa państwa, dla dwu rodów,
Sforzów i Borgiów.

LUDWIK.

Myśl niezła, lecz środki?

FRA LAURO.

Co do tych właśnie chcę się porozumieć,
Sądę, iż trzeba zacząć od Florencyi.

LUDWIK.

Chciałby dla siebie.

FRA LAURO.

Genuę i Wenecję

Dla ciebie książę...

LUDWIK.

Ażeby się dzielić.

Potrzeba naprzód zdobyć one grody.
Florencyi wziąć dziś niepodobna prawie.
Miasto obronne i dobrze rządzone.
Aby je podbić, trzeba przedewszystkiem
Zwalić Savonarolę.

FRA LAURO.

O, Duch święty

Przemówił przez cię książę! Lecz jak zwalić?...

LUDWIK.

Jabym nie pytał, gdybym był papieżem...
Jaka tam u was karność, nie pojmuję.
Mnich, co wykonał posłuszeństwa śluby,
Staje się sędzią, nazywa papieża
Żelazem rdzawem. Rzym zwie Babilonem.
A wy milczycie! O lada pisemko
Sypią się u was cenzury i kłatwy.
A tu milczycie.

FRA LAURO.

Bo Savonarola
Niestety prawdę mówi.

LUDWIK.

Niech więc papież
Przywdzieje włosienicę i niech czyni
Kornie pokutę.

FRA LAURO.

On dziś przygnębiony
Utratą syna. Śmierć książęcia Gandii
I z ręki brata...

LUDWIK.

Dziwny jest ten Cezar
By wciąż zabijać krewnych! Lecz mieć musiał
Powody ważne — a mnie nic do tego.

(pokazując na papiery)

Patrz, gdzie idziecie: on, Savonarola,
Już tak dalece czuje się na siłach,
Iż o reformy radykalne woła.
Oto śle listy: jeden do cesarza,
Do Francyi króla drugi, by co rychlej
Zwołali sobór powszechny, aby złożyć
Z stolicy świętej Aleksandra.

FRA LAURO.

On pisał?

On to napisał? On wart ognia stosu!
Lecz jak przeszkodzić? Florencję rozburzyć!
Wśród tortur zgładzić zuchwałego mnicha!

LUDWIK.

A! a! a! Florencję chcesz burzyć?
Lecz pierw ją zdobyć trzeba! To nie zamek
Lada barona, co dość kopnąć nogą
Aby się w proch rozleciał. Dziś to miasto
Jest rządne, silne dzięki tym ustawom,
Które Hieronim nadać miastu umiał.
Proroka zwalić gdy lud w niego wierzy,
To nie jest w Borgiów, ani ludzkiej mocy.

FRA LAURO.

A więc co czynić?

LUDWIK.

Idź, zaraz do Rzymu.

(daje mu papiery)

Tajemne listy doręcz papieżowi,
I powiedz, że go proszę, aby przysłał
I to najrychlej dla Savonaroli
Kapelusz kardynalski.

FRA LAURO.

Czyż podobna!

Buntownikowi.

LUDWIK.

Wszak o listach onych
Nic nie wie papież. Rozumiesz?

(Fra Lauro czyni znak głową)

Hieronim

Maż święty, — niechże go zatrzyma w Rzymie.
W Rzymie malarya... mnich słabego zdrowia...
Tam złe powietrze... jest także i woda
Niezdrowa bardzo — Borgiom dobrze znana...

(ciszej i konfidencyjnie)

Takiego wroga pozbyć się pocichu,
Wierz mi, najlepiej.

FRA LAURO.

O, można zarówno
Wroga sztyletem, jak uśmiechem zabić.
Lecz w razie gdyby godności odmówił?

LUDWIK.

Jest plebs florencki, równie niezawodny.
Ale kosztowny środek...

FRA LAURO.

(wstając i chowając papiery).

Zaraz jadę.

Jakże związek książęcy?

LUDWIK.

O tem próżno mówić,
Dopóki żyje mnich.

FRA LAURO.

Nie będzie długo
On żył.

LUDWIK.

Tem lepiej dla was.

FRA LAURO.

I dla książąt!

(żegna księcia ukłonem i wychodzi lecz już nie tak
pokorny).

SCENA XIII.

LUDWIK (sam).

I któż śmierć mnicha mnie przypisać może?
O kardynałski kapelusz dlań proszę,
I o tem zaraz powiem mojej żonie.
Skoro go zgładzą, swoboda upadnie,
Piotr Medyceusz weźmie rząd Florencyi.
Wnet go przegonię, ja zagarnę miasto...
Borgie są na to by sprzątnęli mnicha...
Czyn mój pokryje wieczna tajemnica.
Ale jest jednak świadek niepotrzebny,
Ów Frate Lauro, pamiętać należy,
By nie piastował tajemnic zbyt długo.
(robi notatkę w leżącej księdze)

SCENA XIV.

LUDWIK. — ASTROLOG wchodzi przez drzwiczki na
prawo.

LUDWIK.

Masz już horoskop?

ASTROLOG.

Zaniechaj twe plany,
Złe wróżą gwiazdy. Tam twoje oko sięga,
Gdzie skrzydła orle donieść cię nie mogą.
Odosobnioną gwiazda twoja księżę,
Mars z jednej strony, Saturn z drugiej grozi,
Ci, co sprzyjają dziś, zmienia się we wrogów...
Zwycięzysz wprawdzie lejąc krwi potoki,
Ale twój koniec...

LUDWIK.

Na tronie?

ASTROLOG.

W więzieniu.

LUDWIK.

Kto cię przekupił aby mnie zatrwożyć?

ASTROLOG.

Twe wrogi raczej ślali by zachęty.

LUDWIK.

W moich zamiarach nic zmienić nie mogę...
Rozum pewniejszy, niż twe horoskopy.

(Zasłona spada).

AKT DRUGI

SCENA I.

Ulica we Florencyi wychodząca na plac della Signiora, na prawo portyk, — na lewo ulica jedna i druga, — w głębi widać część Palazzo Vecchio i placu na którym ułożone stopy, tak zwane della vanita; na placu lud. Przechodzi ulicą kilka kobiet w strojach wieśniaczek i kilku mieszczan: złotnik, szewc i inni.

PIERWSZA KOBIETA (do drugiej).

Madonna Santa! Co za tłum na placu!
Ani w Lorecie większego nie bywa.

DRUGA KOBIETA.

Z Fiesole biegnę, zostawiwszy w domu
Od piersi dziecko. Mówił mi spowiednik.
Iż tu szatańskie dzieła palić mają,
Sto dni odpustu kto faszyn dorzuci.

PIERWSZA KOBIETA.

Zapewne straszne rzeczy?

TRZECIA KOBIETA.

Cyrografy
Na duszę, dzieci krwią pisane, oraz
Zaklęcia czary, co przywodzą grady.

PIERWSZA KOBIETA.

Ojciec Hieronim ma nad piekłem władzę.

DRUGA KOBIETA.

Błogosławiony mąż!... I czarownice
Może też palić będą? U nas Nina
Jest, wiesz ta krzywa, co sprowadza burze.

PIERWSZA KOBIETA.

Żebyż to można ujrzyć cudotwórcę,
Co z Madonną rozmawia!

ZŁOTNIK.

Cudotwórca!?

Żebraków karmi nam wydartym groszem,
Rozmawia z Bogiem, jak ja. Nikt z żyjących
Madonny nie oglądał.

SZEWEC.

Mądry srodze.

W Medyceuszów psiarni brał nauki!
Madonny nikt nie widział? He! A Dante,
Czy nie był w piekle i czyściu i raj?

ZŁOTNIK.

(skonfudowany, nadrabiając minę).

Ba! Jeden Dante!

(usuwa się w tłum. — w tej chwili nadchodzi orszak
tłumu ze sztandarem).

LUD (wołając).

Cześć Savonaroli!

Niech żyje wolność! Jezus naszym królem!

DRUGA KOBIETA.

Idźmy za nimi.

WSZYSCY.

Cześć Savonaroli!

(Z pod portyków idąc ze stron przeciwnych, wychylają się
ostrożnie GWIDO VESPUCCI i LORENZO TORNABU-
ONI w czarnych płaszczach i maskach).

SZEWEC.

(oglądając się na Lorenza).

Ten czarny ptaszek z za miasta powraca,
Kurcz ma na szatach i twarz swą ukrywa
Pod maską, równie czarną jak i dusza.

(wychodzą wszyscy).

SCENA II.

GWIDO VESPUCCI i LORENZO TORNABUONI

GWIDO (półgłosem).

Vittoria!

LORENZO.

Medyceusz!

(poznają się nawzajem i zbliżają).

GWIDO.

Z Sienny wracasz?

LORENZO.

Piotr Medyceusz jest już w Towernelli.
I dzisiaj w nocy...

GWIDO.

Mój pałac gotowy

Aby go przyjąć.

LORENZO.

(patrzac na plac, ściska pięście).

Już książę wie o tem.

O kilka godzin zapóźno, by zalać
Te stosy krwią Fratesków! O, przekleństwo!

GWIDO.

Nie złorzecz słowom, one nam ułatwią
Zamach tej nocy. Ludek utrudzony
Swym własnym wrzaskiem i długiem

czuwaniem.

Zaśnie kamiennym snem i w pętach
Zbudzi się jutro...

LORENZO (w zamyśleniu).

Nie raz je potargał!

GWIDO.

Za słabe były! Obsadzono bramy?

LORENZO.

Jest naszych dwustu u bramy San Pietro.

GWIDO.

Kędyż są klucze?

LORENZO.

W sali mego brata
Wieszają na noc przy tarczy herbowej.

GWIDO.

To nieprzyjemnie. Twój brat, Alessandro,
Jest przeciwnikiem Piotra.

LORENZO.

Więc dlatego
Dziś wieczoramy właśnie w jego domu.
W czasie bankietu łatwo chwycić klucze.

GWIDO.

Tak, bardzo dobrze; masz listę skazanych?

LORENZO (daje mu listę).

Weź ją, bezpieczniej by była u ciebie.

(pokazując mu papiery).

Ci tutaj na śmierć, a ci na wygnanie.

GWIDO (patrzac na listę).

I Popoleschi? Wszak on Medyceusz?

LORENZO

Nazwisko zmienił, by schlebiać ludowi,
Zginie tej nocy, zaś Savonarolę
Pod strażą zaraz odesłem do Rzymu.

GWIDO.

A to znów po co?

LORENZO.

Borgiów rodu pomoc
Jest za tę cenę.

GWIDO.

A to co innego.
Borgie potrzebne nam są, a mnich wcale.

LORENZO

Czyż tylko tyle? By wolność przytłumić,
Trzeba koniecznie sprzątnąć tego mnicha.

GWIDO.

Zwracają na nas oczy. — lud zaczyna
Warczeć, jak brytan spuszczone z łańcucha.

LORENZO.

Zejdziem się wieczór w Aleksandra domu.
(wychodzą).

SCENA III.

W głębi nieco ludu przychodzi. Z jednej ulicy wychodzi
FRANCISZEK VALORI ze swym orszakim, — z drugiej
MARSILIO TICINO, oparty na ramieniu KS. PICO DEL-
LA MIRANDOLA, — pierwszy, starzec pochylony wie-
kiem; drugi piękny młodzieniec. — LEONARDO. CREDI.
BACCIO BOTICELLI, MACHIAVELLI.

VALORI (do księcia).

Witaj mi książę, nie wiedziałem zgoła
Żeś jest w Florencyi.

MIRANDOLA.

Tylko co przybyłem.
Do ciebie szliśmy, gdyż przywożę wieści.
Ważne i groźne dla ukochanego
Naszego mistrza, ojca Hieronima.

TICINO.

Powiedz mu w domu. tutaj nie jest miejsce
Na podobne rozmowy.

(do Valorie'go, ujmując jego rękę)

Ty mi powiedz
Co znaczą stosy? Miałem Hieronima
Za zwolennika nauki Platona,
Miałem za mędrca go, za filozofa.
Mógłbym przypuścić, że umysł tak wzniosły,
Znów fanatyzmu rozdmucha zarzewie.
I dzieła sztuki niszczyć się ośmieli?

VALORI (oglądając się).

Ciszej, Ticino, by cię lud nie słyszał.

TICINO (z dumą).

W wolnej Florencyi jestem.

VALORI.

Tak jest, wolnej,
Ale przez kogo? Naszych ustaw równie
Jak pomyślności, twórcą jest Hieronim;
Nie sądź ty jego czynów, bo mąż Boży
Nic poziomego uczynić nie zdolny.
By lud zabawić w dni karnawałowe,
A od zwyczajnej rozpusty odwrócić,
Na stosy rzuca księgi i obrazy
Treści bezwstydnej, bez żadnej wartości.
Wierz, iż artystów grono go otacza,
I ci dzieł pięknych zniszczyć by nie dali;
On ich zachęca aby myśl podniosła
Łączyli z piękną formą swych utworów.

TICINO (zamyślony).

Dziwny to człowiek ów Savonarola!
Kto go zrozumie? Ja go nie rozumiem.
Zmienił rząd miasta, zmienił obyczaje,
Chce zmian w kościele, i nareszcie sztukę
Skierować pragnie w niebywałe tory...
Zuchwały Tytan.

OKRZYK ZA SCENĄ.

Śmierć niecnym tyranom!
Precz Medyceusz! Śmierć wszystkim
spiskowym!
Pałace zdrajców zburzyć!

VALORI.

To nie zwykłe
Ludu okrzyki. Coś nadzwyczajnego
Wzburzyło mieszczan.

TICINO.

Lud fala ruchoma...
Podnosi Bogi i Bogi obala.

MIRANDOLA.

Niosą tu ku nam jakiegoś człowieka,
A raczej cień człowieka, tak jest blady
I okrwawiony.

VALORI (do swoich).

Niech mi go przyniosą.
Jeżeli zdrajca — zamknąć go należy,
Jeśli ofiara — otoczyć opieką.

(do Mirandoli)

Mówiłeś książę, iż złe niesiesz wieści?
My i tak w ciągłej żyjemy obawie
O Hieronima życie, i wždy kilku
Z naszych otacza go i strzeże. Sądzę
Iż nowy zamach...

MIRANDOLA.

Czujność waszą zdwojcie.
Gdyż wściekłość wrogów jego się zdwoiła.

TICINO (do Mirandoli).

Pójdźmy stąd, książę, one wrzaski tłumu
Równy mi wstrętne jak i krwawe sceny.

VALORI.

Proszę was idźcie do mojego domu.
Ja wnet przybędę, aby twoich, książę,
Wysłuchać wieści, i o bezpieczeństwie
Uwielbianego mistrza się poradzić.

(TICINO odchodzi).

SCENA V.

VALORI, LUD, kilku prowadzi i podtrzymuje LAMBERTA D'ANTELLE — SZEWC, RZEŹNIK.

SZEW.

Valori! Wolność nasza zagrożona!
Piotr Medyceusz zbliża się do miasta.

RZEŹNIK.

Precz z tyranami! Myśmy potokami
Przelanej naszej krwi wolność zdobyli!

LUD.

Precz z tyranami! Do broni! do broni!
Valori czuwaj! Broń miasta Valori!

VALORI.

Tak, śmierć tyranom i ich zwolennikom!
Lecz chciej pamiętać, o florencki ludu,
Iż sąd w Signorii, a nie na ulicy.

WIELE GŁOSÓW.

Na co tu sądy? Do broni! do broni!
Piotr u bram miasta.

VALORI.

Skąd wiadomość macie?

SZEW (wskazując na Lamberta).

Ten nieszczęśliwy ostrzegł. — Jego pytaj,
On wie o wszystkim.

VALORI (do d'Antella).

Imię twe?

D'ANTELLO.

Gdy żyłem,
Znało mnie wielu: Jam Lambert d'Antello.

VALORI.

Medyceuszów najwierniejszy sługa.

D'ANTELLO.

Powiernik Piotra! Spójrz na przetarte
Od kajdan ręce. spójrz na te nogi
Ze stawów wyszłe. Oto są tyranów
Dary dla głupców, co im wiernie służą.

VALORI.

Nagroda czynów godna

D'ANTELLO.

Z moim bratem

Dla Piotra myśmy wszystko poświęcili.
Ojczyznę nawet... A on, on nikczemnik,
By siostrę naszą shańbić, nas obydwu
W więzieniu zamknął. Brat wyzionął ducha
Wśród tortur sznura; mnie rzucono
W zamkową fosę, biorąc me omdlenie
Za śmierć. — Litośni podjęli mnie ludzie.
I nieco sił nabywszy, pospieszyłem
Aby was ostrzedz. Zmieńcie zaraz strażę
Przy bramie świętego Piotra, — to są zdrajcy
W zмовie z tyranem. Piotr już jest w Vercelli.

LUD.

Wymień imiona zdrajców! Śmierć
nikczemnym!
Ich domy zburzyć i wyciąć rodziny!

VALORI.

(cicho do d'Antella).

Nie mów, na Boga! Powiesz ich imiona
W Signorii, — teraz milcz, by nie wywołać
Wściekłości ślepej tłumu.

(do ludu)

O! florencki

Wszechwładny ludu, szanuj własne prawa!
Ty jesteś sędzią, lecz nie na ulicy...
Idę natychmiast zwołać wielką radę,
Przed nią d'Antello uczyni zeznanie.

RZEŹNIK.

(do tłumu, wskazując na Valori'ego).

On jest patrycyusz, on zdrajców osłonić
Od kary pragnie.

VALORI.

Ludu! ja przysięgam
Na święte ojczyzny imię, na niewinne
Mych dzieci głowy, iż zbrodniarze,
Ktokolwiek oni są, chociażby krewni
Lub bracia moi, nie unikną kary.

D'Antellę z sobą do Signorii biorę.
(do swoich)

Wy pospieszajcie do bramy San Pietro
I straż uwieźcie. Obsadzić natychmiach
Pewnymi ludźmi wszystkie bramy miasta.
Nietylko wpuścić nie wolno nikogo,
Lecz i nikogo też wypuścić z niego.

(z orszaku Valori'ego odchodzą. — Do ludu)

Tak, zdrajcy których wymieni d'Antello
Ujść nie zdołają i sąd ich nie minie.

LUD.

Niech żyje Valori!... Czuwajmy wszyscy!

(Zasłona spada).

ODSŁONA DRUGA

SCENA VI.

W pałacu Aleksandra Tornabuoni, piękna sala z balkonem wychodzącym na Plac Signorii — drzwi na prawo i na lewo. — ARABELLA bogato wystrojona, za nią MAGGIOR DOMO.

ARABELLA.

(wchodzi ze drzwi na prawo i rozgląda się z podziwieniem).

Nie czeka w sali? U wschodów nie witał...
Kędyż Don Sarolo?

MAGGIOR DOMO.

Dotąd nie powrócił
Z Signorii, sędzę, iż nadzwyczajnego
Coś go wstrzymało.

ARABELLA.

To więcej niż dziwne.
Zaprosił abym z balkonu patrzyła
Na widowisko, gdy zapalą stosy.
Przybywam w przezeń oznaczonym czasie.
A pana w domu niema!

MAGGIOR DOMO.

(przysuwa jej wygodne krzesło, stawia przy niej stolik).

Przybyć mają
Rodziny Strozzych, Ridolfich i Nerich,
Wdowa Capponi, młodzi Guiciardini.

ARABELLA.

Przybędą pewnie, lecz w tej chwili pusto.

MAGGIOR DOMO (do siebie).

Madonna tak się spieszyła, by chwilę
Sam na sam spędzić ze swym wielbicielem,
I tak przykrego doznaje zawodu.

(głośno)

W pałacu naszym zanudzić się można;
Może Madonna zechce widzieć freski.

ARABELLA.

Dzięki. Chwil kilka spocznę tu, zapewne
Niedługo zbiorą się i inni goście.

(Maggior Domo odchodzi).

SCENA VII.

ARABELLA.

(sama — rozglądając się).

Wspaniale mieszka stary Gonfalonier,
Stary to prawda, ale tak bogaty,
Na co ja liczę? Rozumniej by stokroć
Zostać wielbioną małżonką bogacza,
Niż próżno płonąć miłością szaloną
Dla żonatego, może dla zmiennika...
Rozumu głosu, kiedyż serce słucha?
Dla mnie na świecie jest tylko Valori.
Wciąż mnie unika — spotkać go nie mogę
Ani na chwilę, choćby w obcym domu...
Przyjść tutaj musi; przyjaźnią tak ścisłą
Z Tornabuonim zdawna połączony...
Przyjdzie tem pewniej, gdy kartkę odbierze,
Którą przez wierną Mariettę posłałam,
Mogłaby wrócić już.

SCENA VIII.

ARABELLA — MARIETTA czarno ubrana.

ARABELLA.

Jesteś nareszcie!
Byłaś, co mówił? Gdzie jego odpowiedź?
Jak go zastałaś? Obdarzył cię hojnie?

MARIETTA (mruczkliwie).

Obdarzył? pięknie! Miałam latać poco,
Oto jest list wasz.

ARABELLA (drżąc i blednąc).

On listu nie przyjął.

MARIETTA.

Ni mniej, ni więcej — przeczytał i oddał...
„Powiedz twej pani — rzekł — iż ubolewam
„Iż jej życzeniom nie uczynię zadość,
„Dziś towarzyszyć pragnę mojej żonie,
„Której tak mało chwil poświęcić mogę“.

ARABELLA.

Okrutnik! Zdrajca! Gdzież jego przysięgi
Miłości wiecznej, która przetrwać miała
Dłużej, niż życie. (płacze).

MARIETTA.

At, nie należało

Mnie tam posyłać. Ogólnie wiadomo,
Iż on przebywa wciąż z Savonarolą.
I wskutek męża pobożnego wpływu,
On się nawrócił i pojechał z żoną!

ARABELLA.

Wpływ tego mnicha jak wezbranej rzeki
Gwałtowna fala, niszczy łąki, kwiaty,
Tak też nam życia wszelką radość niszczy!
Czarę rozkoszy z dłoni nam wytrąca,
Na młode czoła szary popiół sypie
Pokuty wiecznej i śmierci za życia!

SCENA IX.

ARABELLA. — Przez drzwi główne wchodzi GUIDO
VESPUCCI i LORENZO TORNABUONI, w świetnych
strojach.

(Marietta się wymyka)

GWIDO.

(do Lorenza, wskazując na siedzącą Arabelle).
Jak bizantyński obraz, wyłożona,

Na gości czeka piękna Arabella.
Czy przysłała pani domu?

(zbliża się do Arabelli z ukłonem).

Czy mi wolno

Kuzynce powinszować?...

ARABELLA.

(drgnęła ujrzawszy go nagle, odpowiada opryskliwie).

Czego?...

GWIDO.

Gniewna?

ARABELLA.

Zdziwiona tylko. — Przecież się winszuję
Sukcesów spadku, lub zemsty nad wrogiem,
Że zaś nic z tego...

GWIDO.

Przepomniałaś, pani.

O najświetniejszym z tryumfów, o jasnej
Aurorze szczęścia, pochodniach hymenu!
Widząc cię tutaj — tak piękną...

ARABELLA.

O, szkoda!

Poezyi tyle kwiatów wysypałeś
Daremnie... Mógłbyś układać sonety,
I zaćmić sławę Laury wielbiciela!

GWIDO (który usiadł).

Więc twa obecność?

ARABELLA.

Zarówno jak twoja

I innych gości, nic wcale nie znaczy.
Wszystkich nas tutaj zaprosił gospodarz,
Abyśmy z ganków obszernych pałacu
Patrzyli na plac, gdy zapalą stosy...

GWIDO.

Taaak...

ARABELLA.

Nie wierzysz?

GWIDO.

Uchowaj mię Boże!

Rozsądny człowiek zawsze temu wierzy,
Co mówi piękna dama.

LORENZO.

Bardzo dziwne,
Iż brata dotąd nie ma.

ARABELLA.

Maggior Domo
Mówi, iż dotąd bawi on w Signorii.

LORENZO.

To bardzo dziwne, coś się stać musiało.

ARABELLA.

Lorenzo zawsze ponury jak chmura,
Lecz chmura nawet ma—uśmiech błyskawic!...

LORENZO.

I ja się jutro śmiać będę. Lecz dzisiaj
Stosy mię drażnią. Ha! do tego przyszło
Iż jeden nędzny mnich Florencyi panem.

ARABELLA.

Jakże są różne obu braci zdania!
Nasz Gonfalinier uwielbia proroka.

GWIDO.

(którego niecierpliwi zachowanie się Lorenza, by odwrócić
uwagę Arabelli, przysuwa się do niej).

A ty kuzynko?

ARABELLA.

Ja go również cenię.

GWIDO.

Jak ja?

ARABELLA.

(spojrzawszy na Gwida).

Być może... Z zapaleniem stosów
Zwlekają długo.

GWIDO.

Bo czekają nocy,
Aby z efektem większym spalić grzechy
Płoczej Florencyi.

LORENZO (do Gwida).

Ty żartować możesz,

Nie mogę pojąć...

GWIDO.

(ciska mu gniewne spojrzenie i przysuwa się do Arabelli).

Wiesz, piękna kuzynko,
Aleksandrowi ja zazdroszczę...

ARABELLA (z rozłaganiem).

Czego?

GWIDO.

Twych względów, przyszłego szczęścia...

ARABELLA.

O! proszę,

Nie chciej udawać, że widzisz coś więcej
Nad twoją Lenę.

GWIDO.

O! o! mi canzona!

Uwielbiam wszędzie piękno. — Co za ramię!
Biust jak Boticellego cudnej wiosny...
Powiedz mi proszę, jakże się to stało,
Iż nie zaliczył cię Savonarola
Do dzieł garszących sztuki?

ARABELLA.

Śnać do żywych
Jeszcze się nie wziął, kiedy ty nie płoniesz.

GWIDO (z emfazą).

Dla ciebie płonę!

ARABELLA.

(z tłumioną złością, którą tonem żartobliwym pokrywa).

Idź do Hieronima,

Aby cię wodą pokropił święconą!...

Skuteczny środek, ręczę, wnet z różańcem,

W grubej kaplicy, pójdiesz na mszę dzwonić.

Jak twój przyjaciel Valori.

GWIDO (patrzac na nią, do siebie).

Więc to ona!

(głośno)

Dziwaczne wieści, krążyły po mieście.

Iż się dlatego Valori nawrócił,

Iż jedna z jego kochanek, zapewne

W zazdrości szale, chciała jego żonie

Podsunać leki, — z onych radykalnych,

Co leczą wszelkie cierpienia — na wieki...

Zbladłaś kuzynko?...

ARABELLA.

Gorąco w tej sali

I do rozmowy wybierasz tematy

Fraterków godne.

LORENZO.

(zbliżając się do Gwida, półgłosem).

Ja nie wiem jak możesz

W czczej paplaninie przyjemność znajdować,

W chwili...

GWIDO.

(wstał i ujmując jego rękę odciąga go na bok).

Ty mnie zmuszasz do paplaniny

Twem zachowaniem! Ona wciąż badawczo

Na cię spogląda, — musiałem odwrócić

Ile możliwości uwagę...

SCENA X.

Giz. wchodzi spieszenie ALEKSANDER TORNABUONI
i zbliża się do Arabelli.

ALEKSANDER.

Jakżem winny!

Przebacz Madonna!...

ARABELLA (z kokieterią).

Nie łatwo przebaczyć.

Czas wydał się tak długim.

GWIDO (kłaniając się).

Dziękujemy...

Dla nas bardzo pochlebnie...

(śmieją się, prócz Lorenza).

Mnie każda minuta

Wiekem się zdała. Pełen roztargnienia.

Mój urząd bardzo spełniałem niedbale.

Myśl ma tu była — i jakby szum fali

Słyszałem tylko wciąż huczące głosy

Signorii naszej.

LORENZO.

Jednak zająć musiało

Coś niezwykłego? Coś słyszałeś przecie?

ALEKSANDER.

Pobicia sprawa, jakich tysiąc w mieście:

Wnieśli na salę jakiegoś człowieka

Krwia zbrozonego. Pono dawny sługa

Medyceuszów, — na to jedno imię

Zawrzało w sali, powstał hałas taki,

Iż nikt własnego nie mógł szyszeć głosu.

LORENZO.

Nie słyszałeś jak się ów człek nazywa?

ALEKSANDER.

Ponoś d'Antella Lamberto, bo ciągle

Brzmiała ta nazwa.

ARABELLA (do Aleksandra).

Jakże się wyrwałeś?

ALEKSANDER.

Nadszedł Valori, — przemówił i zwolna,
Jakby oliwę kto rozlał po falach,
Tak uciszyło się to ludzkie morze.
Złożywszy w sali rannego, lud zaczął
Wychodzić zwolna, i ja się wymknąłem,
Lecz nie tu koniec jeszcze mych utrapień,
Ledwie próg przeszedł, ktoś za rękę chwyta,
Patrzę Fra Lauro, z Rzymu tu przysłany
Teolog, mówca, nudziarz nad nudziarze.

ARABELLA.

Odprawić mnicha i skończona sprawa.

ALEKSANDER.

Nie jest tak łatwo, — sekretarz papieża...
On zaś widocznie ma w tem swoje cele,
Bo póty nudził aż się do mnie wprosił.
(wchodzi MAGGIOR DOMO ze służbą, — rozsuwają zasłony w głębi, tak, iż widać odblask płonących stosów.
Przez drzwi główne wchodzi goście, których Aleksander wita).

MAGGIOR DOMO.

Stosy pełną.

ALEKSANDER.

(zwracając się do Arabelli).

Raczy przejść Madonna.

(wszyscy wychodzą na obszerny balkon, pozostaje tylko Gwido i Lorenzo).

SCENA XI.

Gwido (do Lorenza).

Sławny spiskowiec! Każdy z twojej twarzy,
Mógłby wyczytać: „oto zamach knuję!”
Szczęściem iż brat twój tak mocno zajęty,
Swą złotą gaską, iż nie patrzy na cię.

LORENZO.

Ty nie wiesz, czemu tak straciłam głowę,
Lambert d' Antella, to Piotra powiernik,
Którego w chwili kaprysu uwięził,
A może brał na męki.

GWIDO.

I cóż z tego?

LORENZO.

Przez niego długo szły nasze układy,
Ciebie on nie zna, lecz ja i Ridolfi
Pecci, dwóch Nierich, jesteśmy zgubieni,
Jeśli on mówić będzie.

GWIDO.

A cóż znowu?

Mógłżeś przypuścić, by oddychał jeszcze
Człowiek znający takie tajemnice?
Twojemu bratu coś się przesłyszało...
Rozpogódź czoło — idźmy za drugimi,
Aby na siebie nie zwracać uwagi.
(wchodzi na galeryę).

SCENA XII.

Po małej chwili wchodzi FRA LAURO i zatrzymuje się patrząc na płomień stosów.

OKRZYK ZA SCENĄ.

Cześć Savonaroli! Cześć Savonaroli!

FRA LAURO.

Więc uwielbiany, — więc potężny jeszcze!
Słusznie osądził ksiązę Medyolanu...
Odbija dziwnie jego postać w bieli
Na tle płomiennem. Zuchwalec szalony,
Co z pierwszą świata potęgą bój toczy...
Na stosie jego miejsce.

OKRZYK ZA SCENĄ.

Cześć Savonaroli!

FRA LAURO.

Odpowiedziała Florencia Rzymowi...
O, tak, przemocą zwalić go nie można.
Lecz kto on taki, ów mnich, co porywa
Tłumy wymową, tak różną od naszej?
Czy to marzyciel naiwny, czy może
Przebiegły hipokryta? Czy fanatyk,
Czy człowiek sławy i potęgi chciwy?
Jeśli ambitny, to go skusi może
Kardynalski kapelusz. Lecz jeżeli
Nazbyt ostrożny, odmówi? Potrzeba
Stosunki liczne nawiązać w tem mieście.
Uwielbia go tu wielu, — bez wątpienia,
Jeszcze go więcej ludzi nienawidzi...
Niechętnych odkryć, — namiętności wzburzyć,
A ślepy motłoch sam swe bóstwo zwali.

SCENA XIII.

Wchodzą ALEKSANDER, za nim GWIDO.

ALEKSANDER (do Fra Lauro).

Dostojny gościu, witaj! Chciej pospieszyć.
(wskazuje balkon)

Ojciec Hieronim przemawia — i u mnie
Zebrany licznie patrycyat.

Poznasz wielu.

(wskazując na Gwida)

Oto nadchodzi jeden z moich gości,
Gwido Vespucci, grzesznik zatwardziały,
Lecz najświetniejszy cavaliere miasta.

FRA LAURO.

Także wielbiciel wymowy proroka?

GWIDO.

Wogóle mało co wielbię na świecie.
A najmniej pono to Grachów w habicie.

FRA LAURO (z udaną pokorą).

Mieszać się w rządy księżom nie wypada.
Tron dla książęcia, a cela dla mnicha.

GWIDO.

Jest księdzem papież a siedzi na tronie.
No, w filozofię nie bawmy się mnichu:
Hieronim mówi, nie słysząc kazania,
Utracić mógłbyś herezyi dowody
I wrócić z niczem.

FRA LAURO.

(składając ręce i zwracając oczyma).

Zartu nie rozumiem.

Hieronim wielki mówca i teolog,
Imię me może mu się na co przyda,
Jestem Fra Lauro, sekretarz papieża
I zakonu generał.

GWIDO.

A, va bene!

Proszę odwiedzić mnie.

ALEKSANDER.

Pójdźmy więc proszę.

Fra Lauro mowy w końcu nie usłyszy.

FRA LAURO.

Każde z słów mistrza jest wielkim potokiem.

(wchodzą na balkon).

SCENA XIV.

GWIDO.

(sam, rozgląda się uważnie po ścianach).

Nudziarza przecież już raz dyabli wzięli!
Na gwar bankietu niebezpiecznie liczyć.

Za późno może być. Gdzie tu te klucze?

(chodzi i patrzy na ściany)

Lorenzo mówił, iż są tuż przy tarczy.

Aha! już widzę — lecz wiszą wysoko,

Gdy rzucę szpada, narobię hałasu...

Spróbujmy jednak!

(słysząc za sceną szcęk broni. — Gwido się cofa)

A co to ma znaczyć?

Szcękneły jakby halabardy, słysząc

Krok zbrojnych... Czyliż wzięto bramy,

I Piotr jest w mieście?

SCENA XV.

GWIDO, — wchodzi HALABARDNICY BARGELLA,

DOWÓDZCA tychże, — za nimi wsuwa się przelekle

MAGGIOR DOMO i spieszy na balkon.

JEDEN Z HALABARDNIKÓW

(chwytając za ramię Gwida).

W imieniu Signorii!

GWIDO.

(który miał w ręku szpadę, przebija go).

Idź do piekieł! (inni chcą go ująć).

DOWÓDZCA.

Odstąpcie, to nie ten. (do Gwida)

Jak śmiałeś, panie?

GWIDO.

A jakże wy śmiecie

Przestraszać ludzi?

DOWÓDZCA.

Tę pomyłkę, panie,

Wybaczyć mogłeś, ale ranić ciężko...

Śmiertelnie może!...

GWIDO.

Nie miałem zamiaru...

Sam sobie winien ów stróż bezpieczeństwa,
Iż ludzi trwoży.

DOWÓDZCA (do swoich).

Opatrzeć mu ranę.

(dwóch wyprowadza rannego, — do pozostałych)

Osadzić wszystkie wejścia...

(do Gwida)

Gdzie Lorenzo

Tornabuoni?

GWIDO.

Nie jest moją żoną,

Bym go pilnował.

DOWÓDZCA.

Idźcie na galerię

Przytrzymać wszystkich.—Pośród nich być musi
I obwiniony.

SCENA XVI.

Z galerii wychodzi wzburzony ALEKSANDER, LORENZO, FRA LAURO, ARABELLA i inni partycyusze i damy.

ALEKSANDER (do Dowódcy).

Co to za gwałt jest? Jak nachodzić śmiecie

W Gonfaloniera domu...

DOWÓDZCA.

Tem gorzej, panie,

Jeżeli zdrajcy ojczyzny się kryją

W Gonfaloniera domu...

ALEKSANDER.

Jakto? Zdrajcy?!

DOWÓDZCA.

(opierają ręce na ramieniu Lorenza).

Lorenzo Tornabuoni, z rozkazu

Signorii, jesteś mym więźniem.

ALEKSANDER.

O! za cóż?

DOWÓDZCA.

Za zdradę Republiki.

ALEKSANDER (chwytając się za głowę).

Przebóg, bracie

Cóżeś uczynił?

LOZENZO.

Bezczelność tych ludzi

Skarconą będzie.

DOWÓDZCA (do Lorenza).

Milcz! ty sam bezzelny!

(podając pismo Aleksandrowi)

Signorii rozkaz. Lamberto d'Antello

Przed sądem złożył listy twego brata,

Pisane do Piotra Medyceusza,

W których przyrzeka otworzyć mu bramy

Miasta, a termin oznaczył tej nocy.

(Obecni okazują zdziwienie i przerażenie, cofają się od Tornabuonich. Aleksander pada na krzesło, zasłaniając oczy rękami. — Lorenza otaczają strażę).

ALEKSANDER.

O, hańba! hańba! Zdrada w moim domu!

DOWÓDZCA (do straży).

Nad głową więźnia skrzyżujcie swe miecze.

Aby go lud nie rozdarł...

(do obecnych).

Wszyscy inni

Wyjść teraz mogą.

(wyprowadza Lorenza, sala się wypróżnia).

ALEKSANDER.

Tego dożyć miałem

Aby rodzony mój brat i jedyny,

Com go jak syna ukochał i chował,

Tyrantstwa jarzmo niósł na wolne karki

Współziomków swoich!? Florency! Florency!

Dla zasług moich, musisz mu przebaczyć!...

On winien, prawda, lecz mi serce pęka...

(placze, ukrywając twarz w dłoniach).

(Zasłona spada).

AKT TRZECI

SCENA I.

Sala w pałacu Vespucci'ego. — Drzwi na prawo i na lewo; drzwi wchodowe w głębi. Ku przodowi sceny sztalugi, na których obraz zasłonięty; krzesła, fotel. Sala w stylu XV wieku, pięknie ozdobiona; stoły kosztowne, fotele i t. d. Przy drzwiach głównych stoi CHŁOPAK bosy, typ ulicznika. GWIDO wychodzi z za drzwi na lewo, twarz zmęczona, ubranie w nieładzie, świadczą o nocy spędzonej przy bankiecie. Za sceną słychać gwar i śmiechy.

GWIDO (do chłopca).

Z czym cię przysłano?

CHŁOPIEC.

Więźniowie prosili.

Bym wam tę kartkę doręczył.

GWIDO.

Któż jesteś?

CHŁOPIEC.

Wnuk więziennego stróża. Więźniowie dali mi pieniądze złoty, obiecali dać więcej, skoro będą wolni. — Proszą pokornie, panie, o słówko pociechy. Racz im okazać litość, dobry panie, Oni tak płaczą.. a Messer Lorenzo Umarły więcej, niż żywy.

GWIDO.

Nie mogę

Ja do nich pisać... Powiedz im, że czuвам, Niech się nie trwożą. — A ty zaś uymkaj. Widzisz, iż pełno gości w moim domu.

SCENA II.

GWIDO (sam).

Ja mam ratować ich, kiedy drzeć muszę,
Iż lada chwila który z nich mnie wyda...
Milczą w nadziei, iż im pomódz mogę.
Lecz któż przewidzieć zdoła, jak torturę
Zniosą ci ludzie, tak rozhartowani
Życiem wśród zbytków, wygod i rozkoszy?
Jedno ich słowo a jestem zgubiony...

SCENA III.

GWIDO. — z drzwi na lewo wchodzi POPOLESCHI.

POPOLESCHI.

Szukam cię, Gwido, by pomówić z tobą,
(wskazując na salę).

Zdała od owej pijanej czeredy.

(Gwido wskazuje na fotel, — siadają na lewo przy stole).

Pozwól, iż spytam, dlaczego tak głośno
Bawisz się Gwido, gdy waży się losy
Naszych przyjaciół, krewnych?

GWIDO.

Nie znam sprawy.

Sądzę, iż nic im seryo nie zagraża.

POPOLESCHI.

Jakto? Więc nie wiesz, że im dowiedziono,
Iż Piotra chcieli wprowadzić do miasta?

GWIDO (udaje zdziwienie).

Tak, dowiedziono?

Ale w takim razie
Cóż cię obchodzić może los spiskowych?

POPOLESCHI.

Wszak to patrycyat! Nazwę odmieniłem.

Nic z niecnym Piotrem nie chcąc mieć współ-
[nego,
Lecz przeto w żyłach krwi nie mogłem zmienić.
Patrycyusz jestem. Zarówno nie znoszę
Tyranii księcia, jak tyranii tłumu.
Patrycyat rządzić winien, i dlatego
Winniśmy wszyscy trzymać się za ręce,
Ty, jako prawnik, mógłbyś powód znaleźć
By odroczone sąd.

GWIDO.

Koszt mego głowę
Ocalić winnych? Znasz-że ty spiskowych?
Wiesz-że coby cię, albo mnie czekało,
Gdyby Piotr kiedy powrócił do władzy?
(otwiera kluczem, który ma przy sobie, szkatułkę na stole
i wyjmując papier, — oddając mu).
Mój wierny sługa, zausznikom Piotra,
Wykradł to pismo.

POPOLESCHI (czytając).

Co? lista skazanych?
Patrz, Medyceusza ręka: „Na śmierć
„Przez uduszenie Popoleschi. W domu
„Ściąć Valori'ego i wygnać rodzinę...
„Gonfalonier... Tornabuoni... jako?
Wygnać tylko?

GWIDO.

Wszak to brat Lorenza,
Z tego wnosilem, iż ów młodzian musi
Mieć chyba jakie u Piotra zasługi.

POPOLESCHI.

Nikczemni!

GWIDO.

Pragniesz ocalać spiskowych?

POPOLESCHI.

O, nie, ta karta zamiary me zmienia...
Gdybym był mocen zaraz ściąć bym kazał.
Lecz wszelkie formy zachować należy.

GWIDO.

To też zostawmy bieg sprawiedliwości...
Lecz skoro wyrok zapadnie, natychmiast
Wypełnić każcie. — Pośpiech zaś zwalimy
Na Valori'ego i Fra Hieronima,
Oraz na wszystkich Fratesków.

POPOLESCHI.

Wybornie!

Genialna rada, by dwóch przeciwników
Powalić jednym ciosem! Lecz niełatwo
Wykonać, — brat Lorenza wszak jest dotąd
Gonfalonierem.

GWIDO.

Z urzędu się zrzucił.
Zamknął się w domu oddany rozpacz.

POPOLESCHI.

A to nam bardzo ułatwi zadanie.

GWIDO.

Za karą śmierci jest większość,
Zatem natychmiast na Signorię spieszę.

SCENA IV.

Gwido (sam).

Śmierć ich zaskoczy, zanim mnie wydadzą.
Dziś do wieczora, ufni w pomoc moją,
Mnie nie oskarżą. A odetchnę jutro...
Spokojność okupuję kosztem tyłu
Ofiar... o czyliż to ja ich zabijam?
Myśleli innych zgładzić, sami giną
Nie zmienię dla nich prawa. Czy dzień pierwej.
Czy dzień później — cóż znaczy?..

Dzień życia!

Minuta nawet znaczy... za dni kilka
Zmieni się Wielka rada, — i nowo obrani
Mogliby skazać winnych na wygnanie

Jedynie...

(z postanowieniem)

Zginać muszą i to szybko.

(uderza się w czoło)

Ha! toż o jednej przepomniałem rzeczy:
Za pośrednictwem Valori'ego mógłby
Uprosić Sandro, by Savonarola
Od kary śmierci skazanych ocalił...
Potrzeba temu zapobiedz.

Ah! Arabella...

Głupia i zemsty nad mnichem spragniona!..
Rade otrucia Valori'ego żony
Zrzuciwszy na Lorenza... o, wybornie...
A kłębek dalej już sam się potoczy.

SCENA V.

W chwili gdy Gwido nakłada leżący na krześle płaszcz
i chce wyjść, wchodzi z sali bankietu DOFFO SPINI,
BOTICELLI i inni goście mocno podchmieleni.

DOFFO.

Cóż to, uciekasz? Do milion piorunów!
Każ-że dać wina! Umieram z pragnienia.

GWIDO.

Patrz jak wysoko wóz Feba na niebie.
Do jutra dalsze odłożmy libacye.

DOFFO.

Przeklęty skąpiec! Żałuje nam wina!...

JEDEN Z BIESIADNIKÓW.

Protestujemy! Nikt tu z nas w Florencyi
Nie sprawia takich biesiad.

DRUGI Z BIESIADNIKÓW.

Brednie gada,

Jak Bachus spił się Doffo.

DOFFO (wyzywająco i drwiąco).

A tyś trzeźwy?

DRUGI Z BIESIADNIKÓW.

Nie jestem pijany, bo go nie zwię skąpcem!
Gwido rozrzutnik większy od Luculla,
I od Nerona i od wszystkich razem
Mieszkańców słynnego Sibaris.

DOFFO.

Trzeba

Ożenić go z Lukrecją Borgia! — Piękna
To będzie para.

GWIDO.

Ty, piękny przyjaciel,
Dobrze mi życzysz. Ja, jak król francuski,
Nie lubię patrzeć na mego następcę.

TRZECI BIESIADNIK.

Lukrecya z księciem D'Este zaręczona.

DOFFO.

W miesiąc po śmierci męża.

DRUGI BIESIADNIK.

Może przedtem,
Bo dlaczegoż by zginął mąż...

DOFFO.

Tak — dlaczego?

Uwaga słuszna.

PIERWSZY BIESIADNIK.

No, wyobraź sobie,
Co za festyny będą na igrzysku.
Warto pojechać.

DOFFO (wzdychając).

A pieniędzy nie ma.

GWIDO.

Pożycz Popoleschi.

DOFFO.

Łatwiej pono

By, duszę potępieńca wyrwać z paszczy
Lucyferowej, niż skud od lichwiarza!

GWIDO.

Jeśli mu wasze przyrzeczenie głosy
Na Gonfaloniera...

DOFFO.

Wszak nie wakuje

Jeszcze ten urząd.

GWIDO.

Zrzekł się Tornabuoni

Z powodu brata.

DOFFO.

A tak słusznie, słusznie
Brat jest pod sądem... Gwido, nie dasz wina?

GWIDO.

Na dzisiaj dosyć.

DOFFO.

Niech cię zduszą dyabli!
Idę do siebie ugasić pragnienie,
Ale słuchajcie... (zatacza się) mówicie żem pi-
[jany.

A mnie przychodzą myśli całkiem trzeźwe.
Zejdźmy się wszyscy u Botticellego,
A że gorąco, wdziejem rzymskie szaty
Białe i lekkie. — A nasze dziewczęta
W strojach przejrzystych, olimpijskich bogiń.
Wam się ukażą. Ha! ha! dla gorąca...

WSZYSCY.

Wybornie! brawo! niechaj żyje Doffo!!!

DOFFO.

Gwido przyprowadź że raz twoją żonę.
Kilka miesięcy już jej nie widziałem.
Tak ją pod kluczem trzyma.

GWIDO.

Była chora....

DRUGI BIESIADNIK.

Co? Lena chora? A to chyba z nudy!
Wypuść raz przecież niebogę z klauzury
A ozdrowieje.

PIERWSZY BIESIADNIK.

Ja o zakład idę.
Że i tej nocy jej nie przyprowadzi.

GWIDO.

To przegrasz zakład. — Ujrzysz ją tej nocy,
I wszystkich olśni.

DOFFO.

Cha! cha! cha!... udaje.
Udaje humor a w duszy się wścieka...
Cha! zakochany!

WSZYSCY.

Cha! cha! zakochany!

DOFFO.

Bywaj zdrów Gwido, raczej, do widzenia!
(wychodzą śmiejąc się).

SCENA VI.

GWIDO (sam).

Tak, zakochany i to... w kurtyzanie.
Wściekłość ogarnia mnie...

Ha, dlaczego ona
W mem sercu pierwsza obudziła pożar
Szalonej namiętności? O! piękniejszej
Niemasz na świecie — Kocham się w jej wło-
W jej oczach, ustach, ramionach, kibici! {sach.
Ogrania rozpacz, kiedy innych oczy
Zwrócone na nią widzę, — i dziś muszę
Ją na bezecny bankiet zaprowadzić,
Szyderstwem smagan, jak piekielnym biczem!
I będę musiał patrzeć, jak ci wszyscy
Jej wdzięki będą pożerali wzrokiem!

A ona, hołdom rada, śmiać się będzie.
(idzie do drzwi na prawo i woła)
Katarzyna!

SCENA VII.

GWIDO. — KATARZYNA wychodzi z za drzwi z palcem
na ustach.

KATARZYNA.

Signore, ciszej.

GWIDO.

Chciej się widzieć z Leną.

KATARZYNA.

O, niepodobna, panie. Niebożátko
Usnęła ledwo nadedniem, — noc cała
Gorączkę miała.

GWIDO.

Kłamstwo! wiem, że zdrowa.

KATARZYNA (udaje, że płacze).

Przysięgam, panie, kamień by się wzruszył,
U mężczyzn zawsze jednakie kochanie:
Jak pies mu tańczyć musi na dwóch łapach,
A gdy już nie ma siły do zabawy,
I ledwo dycha, jeszcze kopnie nogą!

GWIDO.

Milcz, czarownico! Słuchając słów takich
Uwierzyć można iż się jest potworem!
Twe kłamstwo sprawdzić brak mi teraz czasu.
Lecz pomnij, iż nikt mnie nie zwodził dotąd
Bezkarnie. A więc powiedz zaraz Lenie,
Ażeby zdrową była. Dzisiaj w nocy
U Boticelli'ego ma być bankiet.
My rzymski strój przywdziejem, a niewiasty
Olimpu bogiń szaty. Niechaj Lena
Wystąpi jak Diana. Brylantowy

Półksiężyc jej przyniosę, — lecz pamiętaj,
Iż do wieczora powinna być zdrową.
(cisza jej piorunujące wejrzenie i wychodzi przez drzwi
w głębi).

SCENA VIII.

KATARZYNA (sama).

Jezus, Marya, krew mi w żyłach skrzepla,
Przeszył mnie wzrokiem jak gdyby sztyłem.

SCENA IX.

Z za drzwi na lewo wychodzi LENA, czarno ubrana i czar-
nym, długim, przezrystym welonem owinięta, nie patrząc
na Katarzynę, idzie do sztalugi, odstawia obraz i patrzy
nań chwilę.

LENA (patrzając na obraz).

Jeszcze go nie było,

Może nie przyjdzie...

KATARZYNA.

Dobrze żeś wróciła,
Twój Gwido wściekły! Ja jeszcze drzę cała,
Taki wzrok cisnął gdym mu powiedziała,
Żeś była chorą i dotąd spoczywasz.
Dla niego zabić człowieka, to tyle
Znaczy, co nadziać na szpilkę motyla.

LENA.

Żle, żeś kłamała, Katarzyno miła,
Cóż mnie obchodzić może gniew człowieka?

KATARZYNA.

Zanadto, Leno, twej piękności ufasz,
Powiedzieć kazał, iż bankiet tej nocy.
Gdzie? już nie pomnę, tak byłam strwożoną,
Ty masz strój przywdziać Diany, przyniesie
Ci brylantowy półksiężyc.

LENA (wznosząc oczy w górę).

Przed nocą
Przywdzieję jeszcze kosztowniejsze szaty...

KATARZYNA.

Znalazłaś hojniejszego?

LENA.

Pana świata!...

KATARZYNA (do siebie).

Co ona mówi? Czyliżby do Rzymu?
Wzięta na Borgiów dwór? No, no, proszę...
Z ulicy taka jak i ja dziewczyna.

(wychodzi cicho).

SCENA X.

LENA.

(sama, zrzuciła welon i usiadła, patrząc na obraz).

Minęła rozpacz. — tak mi cicho, błogo...
Uklękłam drżąc — podniósł mię mąż boży.
Ukoił serce głos Savonaroli.
Gdy z ewangelii piękny wzór mi stawił.
Płaczącej Maryi z Magdali upadłej.
A tak wysoko pokutą wzniesionej.
Iż skroń grzesznicy lśni w świętych koronie.
W klasztoru murach więc znajdę schronienie
I łzami zmażę życia mego winy.
Żegnaj na wieki zatem, Katarzyno,
Od dziś już nasze rozchodzą się drogi.
Oby cię także Najwyższy oświecał.

SCENA XI.

LENA. — wchodzi przez drzwi główne BACCIO DELLA
PORTA.

BACCIO (do Leny).

Raz ostatni

Przychodzę nudzić cię. Obraz skończony...

(siada przed sztalugą, bierze pędzle i paletę)

I tylko koło ust muszę poprawić
Rys niepochwytny, co mi wciąż umyka,
Ten wyraz bólu, co twarz zalotnicy
Tak niepojętym urokiem otacza.

LENA.

Me lica dając onej męczennicy.
Tyś mistrzu duszę moją odmalował.

BACCIO.

Cudowna Leno, jeżeli masz duszę,
To ją przedstawić by można w postaci
Bachantki albo Danai, co zbiera
Deszcz złoty w dłonie.

LENA.

Baccio! spojrzysz na mnie.
A szydzić może nie stanie ci serca...

BACCIO.

Płaczesz? dlaczego?

LENA.

Żałuję przeszłości!...
Tak mi boleśnie, że nie jestem biedną,
Albo niewinną dziewczyną!

BACCIO.

Co? Fryne

Florencka zabaw i zbytku nie syta,
Za niewinnością tęskni? Nie do wiary!
Czarodziej jaki cud podobny zdziałał?

LENA.

Ty coś pod maską szalonej Hetery
Odgadnąć umiał serce bolejące!...
Twój obraz zbudził mnie. Poznałam siebie.
O, w mej naturze nie było, by w kale
Uciech się tarzać. — Nędza mnie popchnęła...
Wyrośłam sama na miejskiej ulicy.
Sierota, biedna, z łitości żywiona
Żebrany chlebem. — aż nadeszła chwila

Iż pijany bogacz znalazł, że jest piękną...
Garść złota rzucił za chwilę rozkoszy...
Ja byłam głodna... drżałam w noc styczniową,
Sprzedawałam siebie za odzież i strawę...

BACCIO (wzruszony).

Dość! dość już, Leno!

LENA.

Nie lękaj się, Panie,
Miłości słowem ciebie nie obrażę;
Ja proszę tylko byś czasem bez wzgardy
O pokutnicy wspomniał, — o tej, którą
Aspazją nową zowią, która rzuca
Dziś przepych życia i rozbija czarę
Rozkoszy ziemskich, by ją ukochany
Bez wstrętu wspomniał.

BACCIO.

Zwyciężyłaś, Leno,
Jeśli chodziło ci o me wyznanie...
Ale ty może grasz tylko komedycę?

LENA.

Oh!

BACCIO.

Lena go słucha z zachwytem, z rękami złożonemi jak do
modlitwy).

Ja cię kocham od dawna, szalenie!
Ten obraz był mi jedynie pozorem,
By patrzeć na cię. — O! za miłość ona
Jam sobą gardził i co dzień przysięgał
Nie wracać więcej, i codzień powracał!
Starczyć mi nie mógł nigdy szaleństwa.
Artystą jestem, mam serce człowieka
I mą wybraną czciłbym na kolanach,
Jak Alighiery swoją Beatrycę.
Lecz jakże mówić o miłości czarach,
O tajemnicach serca, dusz marzeniach,
Niewieście, którąm widział przy biesiadzie

W Bachantki stroju, upojoną winem,
Hołdami rozpustników?

LENA.

O, mój Baccio,
Czyliżem mogła o bezmiernem szczęściu
Zamarzyć nawet, by dla mnie zabiło
Przezyste serce zacnego człowieka.
Dzięki ci, dzięki za tę szczęścia chwilę,
A teraz żegnaj, — idę do klasztoru.

BACCIO.

Ty, do klasztoru? Nigdy! Tyś jest moja!
Moją na wieki!

LENA.

Nas tu przepaść dzieli,
Nie wyrównana niczem — przeszłość moja!
Nie kalaj ust twych całując Bachantkę,
Pomódl się za mnie Baccio — i zapomnij!..

BACCIO.

Zapomnieć! Leno, jest-że to w mej mocy?
Dziwnie upartem jest niewinne serce...
Ja nie zapomnę... Ty masz słuszość, Leno,
Nas przeszłość twoja dzieli... Żegnaj, Leno,
Ja nie zapomnę, — wskazałaś mi drogę.
Gdy w twym kościele kiedyś wzniesiesz oczy,
W górę na obraz, w ołtarzu Madonny,
I spytasz kto ów obraz wymalował,
To ci powiedzą: Fra Bartolomeo,
Co niegdyś zwał się Baccio della Porta.
(wychodzi szybko, mocno wzruszony).

SCENA XII.

LENA ukrywszy twarz w dłoniach, płacze gwałtownie. Wchodzi GWIDO i na jej widok staje zdziwiony.

GWIDO.

Co to, Moretta? Ty płaczesz! Dlaczego?
Zaprawdę śmieszny jestem, te łzy twoje

Na seryo biorąc! — Jakto? Izy i Lena...
To jakby płomień słońca w noc się zmienił.
(bierze ją za rękę niecierpliwie)

Dość tej komedyi, na milion szatanów,
Weselszą mogłaś wybrać chwilę i czas inny.

LENA.

Przeklęty, zostaw mnie!

GWIDO.

O! ty się gniewasz?
Cóżem zawinił, nie byłem dość czuły?...
Troski obległy mnie jak czarne kruki...
Na włosku wisi moja cześć i życie.
Przyszedłem w twojem objęciu zapomnieć
Obawy moje — sumienia wyrzuty,
A ty odpychasz! — Zakład uczyniłem.
Iż całą młodzież rozkochasz tej nocy,
Iż piękną będziesz jak Venus. Dyadem
Przyniosłem, godny królowej.
(chce jej włożyć we włosy brylantowy półksiężyc).

LENA (odtrącając jego rękę).

Szatanie!

Tyś duszę moją kalał i znieważał.
Lecz nieśmiertelnej zabić nie zdołałeś!

GWIDO (śmiejąc się).

Co? ty masz duszę? Wynalazek nowy,
Tyś sama duszą jest każdej biesiady,
Gdy z czarą w dłoni, śmiejącami usty,
Jak Pean śpiewasz...

(chce ją objąć, ona go odtrąca)

Co to jest? Przekłęcie!

Kto między nami stanął?... Słuchaj. Leno!
Mnie możesz zdradzić jutro, a następnie
W każdej godzinie i każdym spojrzeniem,
Jako twój zwyczaj. — lecz tylko nie dzisiaj.
Tylko nie dzisiaj. Dziś jam wpół szalony.
Kogo ty kochasz? Kogo? powiedz imię...

Kto ci nademnie więcej rzucił złota?
Doffo czy Sandro, czy święty Valori?
Szatanie, gadaj!

LENA.

Puść mnie, ty szaleńcze

Litości godny!

GWIDO (wściekły).

Litości od ciebie

Hetero nędzna! Z błota podniesiona
Ty ulicznico! Ha, masz do wyboru:
Kochanka imię, lub ten ostry, zimny
Sztylet utopię w twem zdradzieckiem sercu.

(Lena wrywa mu się i biegnie ku drzwiom głównym, które
się nagle otwierają).

SCENA XIII.

Ciż. wchodzi SAVONAROLA, za nim PRZEŁOŻONA
i ZAKONNICE.

LENA.

(padając na kolana przed Savonarolą).

Ratuj mnie, ojcze!

SAVONAROLA (do Przełożonej).

Twojej ją opiece

Poruczam, wielebna matko.

PRZEŁOŻONA (obejmując Lenę).

O, biedna,

Pójdź w me objęcia!

GWIDO.

Przez piekielne larwy!

Skąd prawo?...

SAVONAROLA (wyciągając nad nią rękę).

Ona należy do Boga!

GWIDO.

Zemszczę się krwawo, — pamiętaj proroku...

(Zakonnice otoczyły Lenę i wychodzą z nią wraz
z Savonarolą).

(Zasłona spada).

ODSŁONA DRUGA

SCENA XIV.

Dziedziniec zewnętrzny w klasztorze San Marko pełen
kwiatów, róż kwitnących, krzewów, posągów starożytnych,
między innymi posąg Jowisza. — Na prawo w cieniu
portyku siedzi SAVONAROLA przy stole, zarzuconym
ksiegami i papierami, i pisze — po chwili kładzie pióro. —

FRA DOMENICO.

SAVONAROLA (do Domenica).

Gdy mi wzbroniono żywem uczyć słowem,
Myśl ma zostanie tu — i może kiedyś
Jako gorczycy ziarno, gdy upadnie
Na żyzny grunt, plon też stokrotny wyda.

DOMENICO.

Przeczytaj proszę, mistrzu coś napisał.

SAVONAROLA (czyta).

„Nie znikło z ziemi hipokrytów plemię,
„Co u ołtarzów klęka, a powstawszy,
„We krwi bliźniego zanurza swe dłonie,
„I imię Boga wzywa sercem czarnem,
„Jak otchłań piekieł. Dzisiejsi kapłani
„Korzą się usty, a wyniosli w duchu,
„O skarbach, wpływie i potędze marzą.
„Jeżeli myśli nie zmienia, dzień przyjdzie,
„Iż znikną prawa władców i kapłanów,
„I tłum ołtarze i trony obali“.

(przestaje czytać i zamyśla się)

A ludzkość, utrudzona, szukać pójdzie
Znów innych ideałów. Może inny

Podniesie kościół?...

Nie powstrzymać rzeki,
Co od swych źródeł pospiesza do morza;
I nie zatrzymać ludzkości, co wedle
Nauki Zbawcy, ciągle naprzód kroczy,
By wśród walk, zwycięstw, błędów i zachwytów,
Najwyższą odzwierciadlić doskonałość Boga.

DOMENICO.

Czemuż nie czekać nam w spokojnej celi,
Spełnienia prawa bożego na ziemi?

SAVONAROLA.

A! bo mi serce bliźnich obłęd rani,
I chciałbym skupić ich pod znakiem krzyża!

SCENA XV.

SAVONAROLA, — na prawo z klasztoru wychodzi MAR-
SILIO TICINO, postępuje powoli, opierając się na kij.—

Domenico zamyślony odchodzi.

TICINO.

Savonarola, gdzie są moje bogi?

SAVONAROLA.

Czemu mnie pytasz?

TICINO.

Płonęły twe stosy...

SAVONAROLA.

Nie niszczy piękna, kto prawdy czcicielem;
Spojrzyj, nietknięte znajdziesz twoje bogi...

TICINO.

(z radością, idąc ku posagom).

Widzę was znowu jasne słońca dzieci,
Widzę cię znowu Zeusie gromowładny,
Z oblicza twego jasny duch Hellady
Przemawia do mnie!

(całuje posąg).

SAVONAROLA.

Martwe są twe bogi!

I pocałunki twoje ich nie wskrzeszą.
Pogańskie bogi, to świata Cezary,
Z Olimpu swego szczytu, bezlitośnie
Patrzą na ludzką nędzę, ludzkie błędy.
Inną nad sercem litości ma władzę
Ów Bóg miłości, który z śmiertelnymi
Płakał i bolał — i dał za nich życie.

TICINO.

W Galilejczyka wierzysz?

SAVONAROLA.

Z duszy!

TICINO.

W kościół?

SAVONAROLA.

Nie dzisiaj...

TICINO.

A z dzisiejszym śmiesz walczyć?
Ten kościół jest potęgą. Zginiesz...

SAVONAROLA.

Moja

Myśl nie zaginie...

TICINO.

Jakaż jest myśl twoja?

SAVONAROLA.

Chrystus sam przyniósł braterstwa zasadę,
To czynnik nowy, starczy na czas długi,
Ale potrzeba aby Kościół pomniał.
Iż się wśród ludu zrodził i dla ludu...
I papieżowi przystoi pasterski
Kij, a nie berło. On powinien szczerze
Dłoń podać wolnym włoskim republikom,
Tyranów przegnać tak obcych jak swoich,
I sto miast włoskich w jeden splótłszy wieniec

Wiecznego związku, zasiąść w Kapitolu
Obok konsulów rzymskich.

TICINO (z entuzjazmem).

Cajo Graccho!

Wielki duch rzymski pod mnicha kapturem.
Krew moja skrzepła znów w żyłach zagrała
Na myśl tę cudną. Italia złączona,
Italia wolna! W książąt już nie wierzę.
Lorenzo wielkim był — i nic nie zdziałał...
Niechże Italii geniusz skroń twą chroni,
Wiktorya laurem uwieńczy tve czoło!
Sprowadź na ziemię, co było marzeniem
Umysłów wszystkich wyższych i co Dante
Ścigał po kręgach piekieł, czyśca, raj, —
A wielkim będziesz ponad wszystkich wielkich,
I serce moje z tobą! Lecz, Savonarola,
Religią siejesz, a fanatyzm wschodzi
Wśród ciemnych mas, — bacz, by potwór owy
Nie pożarł ciebie. — Serce me się trwoży...
O kilka wieków przyszedłeś za wcześniej.
(ściska rękę Savonaroli i odchodzi).

SCENA XVI.

SAVONAROLA (sam).

„O kilka wieków przyszedłeś zawcześniej“.
Czyż nie zdziałalem nic? Czyliż przez życie
Jak cień przeszedłem? Ślad jednak zostanie...
Florencji dałem rząd, co ją szczęśliwą,
Swobodną czyni. Jeśli jeszcze zdołam
Sprawić, by sobór powszechny ukoił
Sumienia wiernych, potrójną koroną
Uwieńczył czoło godne tej korony,
Wtedy, o Panie, chętnie złożę głowę,
Prosząc, byś sługę strudzonego raczył
Już stąd odwołać, po skończonej pracy.

SCENA XVII.

Wchodzą CREDI, BACCIO DELLA PORTA i kilku zakon-
ników. niosąc zasłonięty niewielki obraz, który odkrywają
pokazując Savonaroli.

CREDI.

Baccio przynosi ci, ojczyźnie wielbny,
Ostatni utwór swój.

BACCIO.

I czeka z drżeniem

Wyroku twego.

SAVONAROLA.

(patrzac w obraz z zachwytem).

Baccio! ta Madonna

Nie miała dotąd równej!

BACCIO.

Mnie mówiono,

Iż li pozwalasz malarzom bizanckie
Kopiować wzory.

SAVONAROLA.

O, bynajmniej! Nie chcę

Jedynie, aby na ołtarz wznoszono
Portrety niewiast nazbyt znanych w mieście,
Artysta bowiem jeśli dla świątyni
Swoj obraz tworzy, pamiętać powinien,
Iż nie jest jego jedynem zadaniem
Zabawiać oczy. Wtedy on kapłanem,
On kaznodzieją, bowiem sprowadzając
Na ziemię promień niebiańskiej piękności,
Odrywa myśli ludzkie od poziomych
Uczuć i chęci i podnosi dusze.
Piękność i cnota to jedno, malarzu.
Piękność oblicza wtedy doskonałą,
Gdy twarz uroczą czysty duch oświeca.
Przecudną twa Madonna.

BACCIO.

Otuchę mi wlałeś.
W zbolełe serce, obraz ofiaruję
Do kościoła San Marko, — jako pierwszy
A skromny dar — od Fra Bartolomeo...

SAVONAROLA.

Ty chciałbyś habit przywdziać?!

BACCIO.

Tak!

SAVONAROLA.

(patrzac nań przenikliwie, do obecnych).

Odniescie

Natychmiast, proszę, obraz do kościoła.
Niech go poświęci zaraz brat Benedykt,
I w dobrym świetle umieści na prawo.
(Credi i zakonnicy odchodzą).

SCENA XVIII.

SAVONAROLA. BACCIO.

SAVONAROLA.

(który Baccia ujął za rękę).

Chcesz mnichem zostać? Skąd postanowienie?

BACCIO.

Stokroć szalony, komu się wydaje,
Iż świat ten pusty potrafi ukoić
Płomienne serce! Zostanę kapłanem.
By wcielać piękna, prawdy ideały,
Zdala od ludzkich namiętności szalów!
Daj mi ten habit co od świata dzieli,
Białą twą szatą odziej mnie, przeorze!

SAVONAROLA.

Tę szatę wdziewać niebezpiecznie synu.
W rozpacz, albo w zniechęcenia chwili..

BACCIO.

Skąd wiesz, mój ojczu, iż?... czyliż i ciebie
Uczucie ziemskie zagnało w te mury?

SAVONAROLA.

(nasuwając kaptur na oczy).

Umarłem dawno dla świata. Dwadzieścia
Lat noszę habit.

BACCIO.

Czy znalazłeś szczęście?

SAVONAROLA.

Shczęście jest w niebie.

BACCIO.

Spokój?

SAVONAROLA.

Ten jest w grobie.

BACCIO.

Ja cierpię bardzo, — powól mi pozostać.
Nie jest to rozpacz, ani ból chwilowy,
Ukochać mogę jeszcze — tylko ciebie...

SAVONAROLA.

Przyjaźń szlachetnych, ta nie jest złudzeniem.
Wejdz w nasze grono; jeszcze ci zostało
Tak wiele w życiu, bo wiara i sztuka!

(ściska go).

BACCIO.

Dzięki ci ojczu. — Za tydzień przybędę
Skoro dokończę rozpoczęte freski.
A teraz jeszcze wejdę do kościoła,
Wypłakać serca boleść u stóp krzyża.

(odchodzi).

SCENA XIX.

SAVONAROLA stoi chwilę głęboko zamyślony, z klasztoru wchodzi szybko KS. PICO DELLA MIRANDOLA.

SAVONAROLA

(ujrzawszy go, śpieszy ku niemu).

O! co za radość dla mnie cię powitać,
Najmilszy książę!

PICO.

(bardzo wzruszony, ściska go).

Ojczy! ojczy drogi!
Gdybym ja mógł być dla ciebie tak miłym,
Abyś usłuchał mojego błagania!

SAVONAROLA.

Coś niezwykłego zaszło — tyś strwożony...
Cóż żądasz?...

PICO.

Uchodź...

SAVONAROLA.

Ja? Ja mam uchodzić?

PICO.

Póki czas jeszcze... Droga każda chwila!
Wczoraj poufny ten list otrzymałem
Od florenckiego posła, który w imię
Signorii w Rzymie, upraszał, by zdjęto
Z ciebie interdykt, kazać dozwolono.
Zechciej posłuchać:

(siadają przy stole, — czyta)

„Na samo wspomnienie

„Savonaroli, wszystko kipi w Rzymie.
„Nie chmura mała, ale straszna burza
„Nad Hieronima głową się zebrała,
„Przestrzeż go książę, iż pisane listy
„Przezeń do Francji króla i cesarza
„O nadużyciach Borgiów, i z żądaniem
„By sobór obrał innego papieża.

„Są w Aleksandra rękę, mu przesłane
„Przez księcia Medyolanu“.

SAVONAROLA.

Przebóg!

PICO (czyta dalej).

„Aby co rychlej opuścił Florencję
„I pod opiekę cesarza się schronił“.

SAVONAROLA.

Tegom się ciosu jednak nie spodziewałam...

PICO.

Uśłuchaj rady twych wiernych przyjaciół...
W Niemczech lub Francji, rozwiniesz twe
plany,

Dokonasz dzieła reformy Kościoła,
Przez sobór.

SAVONAROLA.

Przecz mię ty kuszisz, młodzieńcze!?

Wiesz-że ty jaka walka tu się toczy?
Każdemu wrodzon instynkt ocalenia...
Uciekać?... Książę, uciekać nie mogę!

PICO.

Savonarola, cofać się nie pora...
Naprzód iść musisz. Kto staje w pół drogi,
Niechybnie zginie. My młodzi przy tobie
Będziemy walczyć, aby Kościół boży
Był dla ludzkości wzorem, nie skandalem.
Ty nam utwórzysz Kościół oczyszczony.
Kościół prawdziwy.

SAVONAROLA.

Gdybym ja był pewny!

Lecz nie. Nie wszyscy pójda nowym torem,
Czas, nawet błędów uświęca powagę.
Gdybym im przywiódł nowego papieża
Z pomocą obcych wojsk, Italii miasta
Gotowe bronić Borgii, jako swego
Książęcia. — Krew by musiała popłynąć.

I to krew własna.

Stokroć lepiej, moja
Niechaj popłynię. Pragnąłem reformy
Tutaj zrodzonej, stąd podanej świata.
Italia wolna i świata mistrzyni,
Marzeniem mojem była. — Ah! nie życia
Żał mi, o, książę, lecz tego marzenia;
Gdy się rozbiło — i cóż warte życie?!...

PICO (błagalnie).

Ojcie! to nie jest twe ostatnie słowo!

SCENA XX.

Ciż. — FRA BENEDETTO.

FRA BENEDETTO (do Savonaroli).
Przybyły z Rzymu sekretarz papieża.
Generał Dominikanów was pragnie
Widzieć.

PICO.

Fra Lauro! co słyszę? O, nieba!
Zausznik Borgiów, dusza zaprzędana
Księcia Cezara!

SAVONAROLA (do Benedetta).

Powiedz, że go czekam.

(Fra Benedetto odchodzi).

PICO.

Co ty zamierzasz, ojcie?

SAVONAROLA.

Chwila próby
Nadeszła dla mnie. Żegnaj! drogi książę,
Błogosławieństwo Boże na twą głowę,

(żegna go).

Żegnaj mi synu, i pamiętaj o mnie!

PICO.

Ja nie odjadę, — może zmienisz zdanie.

Pojedziesz ze mną. — Dobry Bóg cię natchnie,
Byś uratował twoje drogie życie.
(raz jeszcze go ściska i odchodzi płacząc).

SCENA XXI.

Wchodzi FRA LAURO. Savonarola się wyprostował i stoi
z ręką o stół opartą, spokojny i poważny.

FRA LAURO.

Cześć Savonaroli! Cześć Savonaroli!
Onym okrzykiem brzmi Florencya cała,
Więc temi słowy witam cię, przeorze.

SAVONAROLA.

Nie dla uczczenia mnie przysłano ciebie.
(wskazuje na krzesło, — siadają).

FRA LAURO.

Czy sądzisz, bracie, że jestem twym wrogiem?
Czemu tak sądzisz? I mnie świat przyznaje
Wymowy nieco. Stąd bardziej niż inni
Oceń talent twój jestem w możności.
Przyznaję chętnie, iż jeszcze dość chłuby,
Być drugim mówcą po Savonaroli.

SAVONAROLA.

Z czemże cię Borgie przysyłają do mnie?

FRA LAURO.

Powiadasz Borgie? Sądzę, iż papieża
Tak nie nazywasz. — Obecnie jest jeden
Już tylko książę Borgia — Cezar...

SAVONAROLA.

Kędyż brat jego młody książę Gandii?

FRA LAURO.

Wypadek smutny...

SAVONAROLA (surowo).

Zbrodnia... Bratobójca
Cezar, czy poniósł zasłużoną karę?

Bynajmniej — zawsze on przy ojca boku.
Co płaszczem Piotra śmie okrywać zbrodnie.

FRA LAURO.

To jednak dziwne, iż to mówisz do mnie...

SAVONAROLA.

Kapłanem jestem, moim obowiązkiem
Przestępstwa jawne gromić z kazalnicy.
Jako Ambroży karciał, wobec ludu,
Teodozyusza zbrodnię, ja tak samo
Mówiłbym śmieie w obliczu papieża.

FRA LAURO.

Inne dziś czasy, dzisiaj niebezpiecznie
Wytykać błędy możnych tego świata.

SAVONAROLA.

Potężnym lepiej schlebiać?

FRA LAURO.

Albo milczeć,
Nad nimi sądy zostawiając Bogu.

SAVONAROLA.

O tak, — wy macie dwie miary, dwie wagi.
Wy macie gromy tylko dla nędzarzy!
Gdy głodny biedak skradnie kawał chleba,
Aby swe dzieci od śmierci ocalić,
Krzyczycie „zbrodnia“! Ale jeśli władca
Swobodny naród zakuje w kajdany,
Jeśli wódz miasto zrabuje i spali,
Jeżeli papież kupioną tyarę
Występkiem kala, zbrodniami poniża:
Milczycie wtedy, pobielane groby!
Faryzeusze bez serca i duszy!

LAURO.

(patrzac nań z podziwem).

Tyś wielkim mówcą, o Savonarola!
Ty może nawet jesteś wielki człowiek...
Lecz nie znasz świata. One ideały

O których marzysz, wzrosły w twojej duszy,
Lecz się na ziemi nigdy nie wcieliły.

SAVONAROLA.

Gdyby się nigdy nie były wcieliły,
Następca Piotra nie władałby światem.
Krwia i pokora, modlitwą i łzami,
Wzrósł chrześcijaństwo, nie złotem, i mieczem.
Próżno zaprzeczasz, były one wieki,
Gdy kościół krył się w cieniach katakumby;
Z drewnianej czary pił kapłan krew Pana,
Lecz serce jego było szczerzółte;
Dzisiaj to wszystko do gruntu zmienione,
Kielichy złote a z drewna kapłany.
Jakiż to podmuch wieje na tych wzgórzach
Odwiecznej Romy, iż wzorem Cezarów,
Każdy oszaleć musi, co pochwyci
Tam panowania berło w swoje „dłonie“!

LAURO.

Czy kościół kiedy był tak doskonałym?
Czy mógł zwyciężyć jedynie męczeństwem?
Nie wiem, lecz wątpię. — Nie wszczynajmy
[sporu

O przeszłość, która złą czy dobrą była,
Już przeminęła. Jak do matki łona
Nie wraca człowiek, tak i instytucja,
Raz wszechpotężna, nie zrzeknie się władzy.
Składa się Kościół z ludzi nie z aniołów,
I jaka ludzkość, tacy jej kapłani.
Usterki, błędy usuwać należy;
Uwagi czynić w formie memoriału
Wolno każdemu, lecz składać jedynie
Kornie u stopni papieskiego tronu.
Kto w pysze możnych potępia czynności,
Przysięgę świętą obedyencyi łamiąc,
Tego Kościoła muszą zmiażdżyć gromy.

SAVONAROLA.

Grozić możecie. Wszak nie tylko kłątwy,

Lecz i miecz świecki na wasze usługi.
Groźcie! By ludzka myśl was nie sądziła.
Tę myśl zabijcie! Zatrzymajcie w biegu
Stuleci falę, co płynąc nad światem
Rozwija umysł ludzki. Używajcie siły...
Walczcie ze światłem torturą i stosem.
Ale zadrżycie! Wybije godzina,
Iż ludzkość, wieki pod grozą trzymana.
Zerwie się, przejrzy, rozerwie łańcuchy.
Pękną sklepienia zmurszałego gmachu.
I pył pogardy, jak popiół pokuty
Pokryje czoła wasze!...

Ja pragnąłem
Ocalić Kościół. W tem jest moja wina...
(w natchnieniu).

O, Romo! jesteś niemocą złożona,
Ty jesteś chorą, usque ad mortem! Jeśli
Chcesz się ocalić, zaniechaj twej dumy,
Zrzec się frymarki i chęci władania,
Bo oto bije przeznaczeń godzina,
W gruz mają runąć ołtarze i trony...
I oto widzę anioła zniszczenia.
Jako na nowo zwraca miecz ku ziemi.
Milionów znacząc grób.

FRA LAURO

(który nań patrzył z przestrachem).

Ty miewasz chwile
Jasnowidzenia. — Przepowiednie twoje
Aż nazbyt często dotąd się spełniały...
I kuryę widmo przyszłości zatrzyma.
Ty jeden mógłbyś, a więc zaradź złemu...
Papież ci drogę reformy otwiera,
Śląc ci przezemnie książkę purpurę,
Kapelusz kardynalski.

SAVONAROLA.

Mnie! Purpurę!

FRA LAURO.

Tak jest, natychmiast jedź ze mną do Rzymu.
Wpłyniesz na Aleksandra.

SAVONAROLA.

Ja mam wpłynąć?
Któż ów Aleksander?

Czy to mnich korny, chwilowo zbłąkany?
Czy kapłan, świata ujęty pokusą?
To księżę władzy i potęgi chciwy,
To panujący co nie zna oporu.
Chcecie ażeby florencki lud, zacny
Ale burzliwy, zostawion bez steru,
Znów stał się pastwą niezgód i zaburzeń;
By w ręce Piotra wpadła republika.
Jam ludu trybun. — Nie dla mnie purpury...
Głowie mej jedno nakrycie przystoi:
Wieniec męczeński moją krwią czerwony.

FRA LAURO (wstając).

Ha! będziesz go miał, szalony mnichu,
Świetniejszy jeszcze niżli się spodziewasz!
Na lud twój liczysz? W stanowczej godzinie
Ujrzysz po czyjej ten lud stanie stronie!
(tonem urzędowym).

Przeorze kongregacyi San Marco, — twój
Od dziś klasztor pod interdyktem, ty zaś
Zawieszon w twoich obowiązkach, póki
Herezyi nie odwołasz, i w pokorze
Do stóp papieża nie padniesz. Jeżeli
Publicznie kazać jeszcze się ośmielisz.
Pod inkwizycyi sąd pójdziesz, — oto
Papieski reskrypt

SAVONAROLA.

By mnie pewniej zgubić!
Wzbraniacie kazać. — Jam na śmierć jest
[gotów.
Wierzę, iż w sądach bożych, niezbadanych,

Mój zgon potrzebny, by Kościół odrodzić.
Wy zwyciężycie dzisiaj, — przyszłość moja!
Żegna Fra Laura znakiem ręki; — ten patrzy nań chwilę
z wyrazem podziwu i wychodzi zmieszany).

SCENA XXII.

SAVONAROLA

(sam, patrząc za odchodzącym).

Bogu i ludziom wstrętna, obłudnicza
Faryzeuszów rasa! Na niej cięży
Krew sprawiedliwych, proroków zabitych,
I na niej ciężą łzy całej ludzkości.

SCENA XXIII.

SAVONAROLA. — z kościoła wchodzi ZAKONNICY,
podtrzymując na pół przytomnego FRA SILVESTRA.
FRA DOMENICO, FRA BENEDETTO.

FRA DOMENICO (do Savonaroli).

Sylwester miał widzenie. Omdlałego
Znaleźliśmy w kościele.

FRA SILVESTRO.

Ciemni ludzie,

To nie omdlenie było, a widzenie...
Najwyższy z tronu chwały zstąpić raczył
Do niegodnego sługi. Ja wleciałem
Ponad siedmiu nieb kręgi, Hieronimie!
Anioła twego widziałem, — nas obu
I Domenica skuł złotym łańcuchem
Nierozzerwalnym, na śmierć na życie...
Przez mię obwieszcza ci, iż już wybiła
Godzina przeznaczenia. — Bóg nas woła!
Śmierć twa tryumfem będzie!

SAVONAROLA.

Miły bracie,

Uspokój się i pomódł...

FRA SILVESTRO (jakby w obłędzie)

Trzeba cudu!

Od ciebie czeka go świat!

ZAKONNICY.

O, tak! cudu!

Niech Bóg poświadczy, żeś ty Jego sługą,
Potwarcom zamknie usta.

SAVONAROLA.

Mili bracia,

Grzeszycie ciężko, gdyż grzechem śmiertelnym
Jest kusić Boga. On swą moc objawia
Jak i kiedy chce. Skąd ten szal dziecinny?

FRA BENEDETTO.

Gonzano codziennie bezkarnie uraga
Niemocy naszej.

FRA DOMENICO.

Ciemny Franciszkanin

Codziennie z ambony woła, iż fałszywym
Prorokiem jesteś! Codziennie nas wzywa
Aby z nas który, jeśli wierzę w ciebie
Wszedł z tobą na stos. Ja pójdę, ja wierzę,
Iż ucznia twego, tak jako biblijnych
Młodzianków, nie tknie ogień, a oszczercę
Los zasłużony spotka.

FRA SILVESTRO.

Idę z tobą,

My skuci na śmierć i na życie!

SAVONAROLA.

O! Boże!

Najcięższa to z prób twoich! Miły bracie,
Idź do twej celi, w imię posłuszeństwa.

FRA SILVESTRO.

Tyś jest prorokiem, ale Bóg nad tobą.
I tam iść musisz, kędy jego wola.
Na próbę ognia jesteście gotowi...
Już stopy płoną — lud ciska zarzewie...
Męczarnia krótka, wiekiasta chwała!...
Niebiańska jasność... U góry trzy koła...
Wznoszą się, płyną, aż do tronu Boga!...
(pada omdlały, obecni go podnoszą).

FRA BENEDETTO (do Savonaroli).

Czy to od Boga, ojczy?

SAVONAROLA.

On jest chory..

(obecni zajęci Sylwestrem, wraz z Benedyktem)

(do siebie)

Gorzej iż w chwili takiej ja złamanym
Czuję się — jak żeglarz gdy mu wśród burzy,
Ster wyrwą z dłoni strwożeni majtkowie!...

(Zasłona spada).

AKT CZWARTY

SCENA I.

W bote dze Botticelli'ego. — Niewielki pokój, od sali przedzielony w głębi sceny zasłoną, mogącą się zsuwać lub rozsuwać dowolnie. — Pełno obrazów i przedmiotów sztuki; dźwigi na prawo ukryte, na lewo wejście z ulicy; ku przodowi sceny stolik, przy którym siedzą pijąc wino, które im Botticelli dolewa: ZŁOTNIK, STOLARZ, SNYCERZ, MOZAISTA oraz FRA LAURO.

ZŁOTNIK (do Fra Lauro).

Gdy żył Lorenzo było tu inaczej,
Szedł dobrze handel, żyło się wesoło...
A teraz, — teraz rządzi nami mnichy,
I Florencyja się modli.

FRA LAURO.

Najmniej, sądzę.

Złotnicy ucierpieli. Do kościołów
Kielichów trzeba, monstrancyi...

STOLARZ

(śmiejąc się uderza pięścią o stół).

Trafiłeś

Wybornie w sedno! Nasz ojciec Hieronim
Nie chce by złoto świeciło w kościele,
Rozdać je biednym woli.

FRA LAURO.

Gdy za czasów

Lorenza tutaj byłem, inny całkiem
Florencyja miała pozór, inne życie!
Orszaki książąt sunęły przez miasto,

Codzień bankiety, codzień widowiska;
Jako strumienie do rzek niosą fale,
Tak tu spływało cudzoziemców złoto,

STOLARZ.

Lorenzo tyran był, i tak naprawdę
Lud nie miał wcale z tych blasków pożytku.

SNYCERZ.

Słusznie uczynił też ojciec Hieronim,
Iż w chwili zgonu nie dał rozgrzeszenia.

STOLARZ.

Ponieważ prorok żądał, by on wrócił
Florencyi wolność, a książę odmówił.

FRA LAURO.

Savonarolę za proroka macie?

STOLARZ

Wszak on nam tyle przepowiedział rzeczy!
A jako wszystkie dotąd się sprawdziły
I wam wiadomo. I któż przyszłość zdoła
Przewidzieć, jeśli Bóg go nie oświeci.

FRA LAURO (jakby do siebie).

Czyż Bóg koniecznie? I szatan jest duchem,
A tu na ziemi wielką jego władza.

OBECNI (przerażeni).

Przebóg! Ty sądzisz?

FRA LAURO.

Ja nie wiem, ja nie wiem.
Nieraz się widzi jak wróg ludzkiej duszy,
Przybiera różne formy...

STOLARZ.

At, dzieciństwo!

Gdy szatan ludzi kusi, nie przybiera
Świętego postaci. Ojca Hieronima
Zły duch się lęka jak święconej wody!

FRA LAURO.

I ja tak sądzę, lecz wątpiących wielu
Tak tu, jak w Rzymie...

BOTICELLI

(nalewając wino siedzącym przy stole).

Słuchajcie go pilnie,

Teolog wielki.

FRA LAURO.

Otóż mi się zdaje,

Iż teraz właśnie odpowiednia chwila,
Aby Najwyższy nam przez cud objawił,
Swą dla proroka łaskę. Fra Lenzano
Jak wiecie wezwał ojca Dominika,
Z San Marko kongregacyi, by z nim razem
Jutro, na placu przeszedł przez płonący
Stos.

SNYCERZ.

To szaleństwo!

FRA LAURO

(wznosząc oczy w niebo).

O! dla chrześcijanina

Jest to akt wiary! Będzie to sąd boży...
Kto z próby ognia wyjść zdoła bez szwanku,
Za tym przemówi Bóg i da świadectwo
Prawdzie. — Więc jutro zbierzcie się na placu
Pallazzo Vecchio, — i tam się dowiemy
Bez wątpliwości, czy Savonarola
Prorokiem bożym jest, czy też szalbierzem.
Ja za świętego go mam, ale dodać muszę
Iż nie masz zbrodni straszniejszej nad czary...
Jeden czarownik może miasto całe
Zgubić zarówno na duszy i ciełe.
Więc kto takiego słuźalca szatana
Zabije, albo przynajmniej skaleczy,
Otrzyma odpust zupełny, chociażby
Był mężobójcą, — nie tylko dla siebie.
Lecz i dla swojej też całej rodziny.

Kto czarownika zaś chciałby ratować,
Ten pójdzie w piekiel wieczyste płomienie!

MOZAISTA.

Któż mógł przypuścić, iż miasto spokojne
Ma się teatrem stać zaburzeń nowych!

ZŁOTNIK.

Twierdziłem zawsze, iż pod rządem książąt
Bezpieczniej było.

SNYCERZ (zamyślony).

Trzeba się zgromadzić...

(do Fra Laura).

O którym czasie mają płonać stosy?

FRA LAURO.

O czwartej, piątej z południa, godzinie.

ZŁOTNIK (wstając).

Dyabłów i czarów ja się tak obawiam.
Iż pewno oka całą noc nie zmrużę.

BOTICELLI.

Panowie, muszę zamykać botęgę,
Strażnik godzinę dziewiątą wygłasza.
(Wszyscy prócz Fra Laura wstają, wychodzą na lewo).

STOLARZ (pocichu do snycerza).

Te wszystkie czary, to rzymska intryga
Aby lud wzburzyć.

SNYCERZ.

I zabić proroka.

Musimy czuwać...

STOLARZ.

A! co za nieszczęście!
(wychodzą).

SCENA II.

FRA LAURO, — BOTICELLI, który sprząta próżne
kielichy.

BOTICELLI.

No, hojną ręką rzuciłeś zarzewie,
I wątpliwości i obaw wśród tłumu,
I dzień jutrzejszy rozstrzygnie o doli
Florencyi równie, jak Savonaroli.

FRA LAURO

(ocierając pot z czoła).

Tak ciągle gadam po wszystkich winiarniach
O sztukach czarta i potędze czarów,
Iż mnie samemu zdaje się chwilami,
Iż za plecami memi dyabeł stoi.

BOTICELLI

(ogląda się z trwogą i żegna się nieznacznie).

Jakkolwiek próba ogniowa wypadnie,
Umysły ludu tak są podniecone,
Iż jutro rozruch wypadnie uliczny.
I tłum się rzuci na klasztor San Marko.
Jesteście pewni?

FRA LAURO.

Takich burd na setki
Widziałem w życiu. Gdy grunt już gotowy,
W pół darmo sprzedać, albo rozdać wina,
Urządzić spektakl — rzucić kilka imion
Na pastwę tłumu, rabunku nadzieję;
A samopału proch, iskrą dotknięty,
Tak nie wybuchnie, jak wściekłość motłochu.
Gdyby w tłumulcie mógł Hieronim zginać?

BOTICELLI.

Co stać się może, to przewidzieć trudno...
Chciałbym jedynie, by zwołano rządy
Fratesków, bo mi handel psują, — zresztą

Pal ich tam lichy! Chciałbym się upewnić
Jako interes nasz...

FRA LAURO.

Pojedziesz ze mną,
Nadwornym będziesz malarzem. Dla księcia
Cezara, biorę twe cudne obrazy
Amora, Ledy, za jaką chcesz cenę...
W Rzymie są hojni. Dla donny Lukrecyi
Ozdobisz pałac świetnymi freskami,

BOTICELLI (śmiejąc się).

Odtworzę wszystkie Olimpu boginie.
Jeżeli ona zechce mi być wzorem.

FRA LAURO.

Ktoś puka, zegnaj! — Schodzą się aktorzy...
(oddala się z westchnieniem)

Ah! bankiet będzie cudny, jaka szkoda
Iż ja, niestety, nie mam w nim udziału.
(wychodzi przez drzwi od ulicy).

SCENA III.

BOTICELLI zasłania lampę, otwiera drzwi ukryte. wcho-
dzi ARABELLA ze drzwi ukrytych na lewo — czarno
ubrana i w masce.

ARABELLA.

Nikogo nie ma?

BOTICELLI.

Jeszcze nikt nie przyszedł.

ARABELLA.

Zakupić pragnę obraz twojej Ledy,
I pragnę pierwej słyszeć o niej zdanie
Franciszka Valori'ego.

BOTICELLI.

Wątpię czy przychylnie

Dla mnie być może. — On, zwolennik Frata,
Madonny tylko czci.

ARABELLA.

O, mniejsza o to,
Wszak możesz mi ją sprzedać za sto skudów?

BOTICELLI.

Chętnie, mój obraz jest tu, i zostawiam
Swobodę wszelką, aby go obejrzeć.
(wychodzi).

SCENA IV.

ARABELLA

(sama — patrząc za Boticellim).

Domyślny i dyskretny, istna perła.
(siada w cieniu)

Ów zacny Gwido wyborną dał radę.
Mogę i serce odzyskać kochanka,
I jeszcze wrogów przysporzyć mnichowi.

SCENA V.

ARABELLA z głębi usuwając zasłonę, dla przejścia, tak
iż widać salę silnie oświetloną i stoły bankietowe. — Wcho-
dzi VALORI i zatrzymuje się chwilę, nie mogąc zrazu
dojrzeć Arabelli.

VALORI (do siebie).

Kto mnie tu wezwał i po co? Sądziłem
Iż mnie Vespucci wzywa, by złagodzić
Wyrok zapadły na jego przyjaciół.
Cóż to, jak widzę, bankietować mają
Jako ich zwyczaj, i mnie zawezwali
Na uczestnika zabaw!...

ARABELLA.

Albo zbrodni...

VALORI.

Ty, pani... tutaj!

ARABELLA.

Ostrzedz cię przychodzę.

VALORI.

Ostrzedz? Bezczelna! po tem co się stało
Śmiałaś mnie wezwać?

ARABELLA.

Widzieć cię musiałam,
Nie mogłam wiecznie zostać pod zarzutem.

VALORI.

Dość tej komedyi... Nędzna trucicielko!

ARABELLA.

Gdybyś mnie jeszcze był kochał, ów pozór
Nie byłby starczył, — wówczas miłość twoja
By przemówiła za mną, — tyś potępił.
Nie wysłuchawszy...

VALORI.

Cóż mogłaś wymyśleć
Na twą obronę? Gdy jad kupowałaś
U jednej z onych nędznic, co frymarczą
Onemi, wiedziałaś za co jej płacisz...

ARABELLA.

Skąd wiesz, iż oną kupiłam truciznę?
Mnie proszek dano jako środek pewny.
Aby twa żona pogardziwszy światem,
Wolała żyć w klasztorze, niżli z tobą.

VALORI.

Dziecinna wiara... ale myśl występna!

ARABELLA.

Lecz nie zbrodnicza. Całą moją winą
Szalona miłość, co mię pozbawiła
Rozwagi wszelkiej. I któż z nas nie wierzy
W potęgę filtrów albo eliksirów,
Na duszę ludzką, lub serca uczucia?

VALORI.

Któż jest ów zbrodniarz, co śmiał w ręce
Niżeli dziecka, szaleń oślepionej [gorzej]
Kobiety, dawać podobną broń?

ARABELLA.

Dosiągi

Go już sąd boży.

VALORI.

Zginał?

ARABELLA.

Żyje...

Ale jest jednym z tych pięciu skazanych.

VALORI.

Który?

ARABELLA

Ja więcej powiedzieć nie mogę,
Przysięga usta wiąże... Słyszę kroki.
Uchodzić muszę. — Nie ja cię wezwałam,
Przybiegłam ostrzedz, iż cię prosić mają
O życie tych spiskowców. To zbrodniarze,
Co ocaleni ciebie zechcą zgubić...
Przebacz mi! błagam, nie odwracaj oczu...

(płacze)

Ja tak bez granic jestem nieszczęśliwa!
Powiedz przynajmniej, iż mnie nie uważasz
Za tak występna.

VALORI.

Może.

ARABELLA.

Że pozwolisz

Widzieć cię czasem?

VALORI (odwracając twarz).

Nie!

ARABELLA.

Jakżeś okrutny!

(wychodzi przez drzwi ukryte).

SCENA VI.

VALORI (sam, — patrząc za nią).

I tę kobietę tak niegdyś kochałem.
Dziś, ledwo pomnę. Mojego anioła.
Tę moją tkliwą żonę, otruć chcieli.
Sądziłi pewno, zwolennicy Piotra,
Iż Arabelli wpływ mój umysł zmieni.
I do ich partyi zbliży. Nikczemnicy!
Lecz który z tych spiskowych dał truciznę?
Tornabuoni Jan, ten u niej bywał...

SCENA VII.

VALORI, — z drugich drzwi bocznych wchodzi ALEKSANDER.

ALEKSANDER (zmieniony i wzruszony).

Przybyłeś! dzięki!... Nie skłamał Vespucci.
Iż mi przychylnym jesteś.

VALORI.

Dosyć dziwne,
By o przyjaźni mej dla cię upewniać
Miał cię Vespucci, dawny wróg nas obu!

ALEKSANDER.

Tak, byłeś moim przyjacielem, póki
Cię nie ogarnął szal demokratyczny!

VALORI (z podziwem).

Co ty mówisz, Sandro?

ALEKSANDER (z ironią i gniewem).

O, dzisiaj świetnym

Okazałeś się mówcą. Twa wymowa
Signorię przekonała. Ty wolności
Szermierz, żądałeś krwi. Pięć głów spadnie
Młodych i lekkomyślnych, lecz kochanych,
Nadziei pełnych. Pięć domów szlachetnych,
Nie obcych tobie, z tobą spokrewnionych,
Pohańbi topór kata. Tyś zapomniał,
Przed twoim okiem był tylko ów potwór
Zbiorowy a krwi chciwy: Republika
Co stać powinna na głowach uciętych,
Rozdartych sercach ojców konających,
Jak Ugolino, gdy patrzył na dzieci
Umierające z głodu.

VALORI.

Ojców winą
Gdy dzieci swoje na zdrajców chowają!

ALEKSANDER

(który się zachwiał jakby ugodzony).

A! coś ty wyrzekł?

VALORI.

Tyś brata wychował,
Nie wławszy w serce miłości ojczyzny...
I mnie obwiniasz, potępiasz ustawy,
A nie zbrodniarza, co wojną domową
Chciał znów wyludnić miasta.

ALEKSANDER.

Ty masz słuszość.
Lecz cóż mnie przyszłość ma obchodzić miasta?
Potomstwa nie mam — ten jeden.

VALORI.

Aleksandrze,

Boleści twojej wiele się wybacza...
Ja ją podzielam. Do Jana nie miałem
Wcale niechęci. Cóż dziś mogę?
Prawo potępia go.

ALEKSANDER.

Kto dał ustawę,
Ten i odmienić ją może...

VALORI.

Szalejesz!
Savonarola przecież nie jest królem,
By ułaskawić mógł...

ALEKSANDER.

Może w Signorii
Wyjednać zwłokę wyroku. Czas wiele
Odmian przynosi. Niechby odłożono
Choć do miesiąca spełnienie wyroku!
Znaleźć się mogą świadkowie, dowody.
Iż Jan był więcej płochy, niżli winny,
I śmierci wyrok zmienia na wygnanie.

VALORI.

Czy znasz ty wszystkie czyny twego brata?

ALEKSANDER.

Czyny?... Ja nie wiem...

VALORI.

Chcesz, aby Hieronim
Naraził swoją zagrożoną głowę,
W obronie zdrajców? Nie dość gromów
[Rzymu,
Jeszcze przeciwko niemu chcesz podburzyć
I lud florencki? — Ale idź do niego...

ALEKSANDER.

Zdrajca w mym rodzie, i ja z taką plamą
Mam stanąć przed nim, co uosobieniem
Jakby ojczyzny i mego sumienia!?
Nie — ja nie mogę... Lecz ty pójdz do niego,
Powiedz, iż stary Gonfalonier błaga
O życie brata.

Niech mi go ocali!
Zmienny jest umysł ludu — dziś krwi pragnie.
Jutro skazanych na śmierć pomścić zechce.

Niech to uczyni!

(z największą egzaltacją)

Bo ja sam, Valori,
Przestaną wierzyć weń, i w szale rozpacz
Zemścić się krwawo.

VALORI (niechętnie).

Spróbuję, lecz nie wiem.
Uważ, iż mamy kilka godzin czasu
Zaledwie — ścięci mają być tej nocy.

ALEKSANDER.

Tej nocy? Przebóg! komuż zależało
Na tym pośpiechu?!

VALORI.

Ich współnikom!
Idź do pałacu i uczynj starania,
By egzekucję do jutra wstrzymano.

ALEKSANDER.

Spieszę, lecz pomnij, jeżeli on zginie,
Popłynie wiele krwi jeszcze w Florencyi.

(Zasłona spada i po krótkiej chwili podnosi się, odsłania-
jąc salę bankietu).

ODSŁONA DRUGA

SCENA VIII.

Sala bankietowa urządzona na sposób rzymskiego „triclinum”. — Mężczyźni w strojach rzymskich, spoczywają na niskich rzymskich łóżach. Kobiety siedzą w kostymach różnych bogiń,—wszyscy w wieńcach. Dużo świeczników, kwiatów, kadzielnic;—ku przodowi sceny, na prawo, drzwi wchodowe; na lewo, na małym ołtarzyku, posągi Wenery i Bachusa. DOFFO SPINI, kilkunastu biesiadników, wszyscy podchmieni. — FLORA, BACHANTKA, NIMFA, przy podniesieniu kurtyny słyszą śmiechy i gwar, po chwili wchodzi przez drzwi na lewo w głębi: GWIDO VESPUCCI, jak zwykle, ubrany w czarny jedwab i aksamit.

DOFFO (z puhaem w rękę).

Tych nieobecnych co złamali słowo,
Niech Plato skaże na męki Tantala!
Non raggionani di lori.

(do służącego)

Pasztet podaj!

GWIDO

(wzburzony, wściekły, lecz udający wesołość).

Salve, o Doffo! Widzisz że się stawię,
Więc mnie nie dotknie twoja anatema!
Zaraz na twoją cześć toast wygłaszam:

(chwytając puha i pije)

Od wszelkich ciosów niech wždy chronią bogi.
Two czoło zdobne wieńcem i łysina...

FLORA (śmiejąc się).

Jakże niewdzięcznie dotknąć amfitriona
Z najśłabszej strony.

DOFFO.

Nie dotknął mnie wcale,
Cezara liczą do mych antenatów...

(kładąc rękę na głowie).

I to dziedzictwo.

BACHANTKA.

Zamiast panowania,
W spadku łysina! Jabym kwitowała.

BIESIADNIK PIERWSZY.

Dlaczego Gwido nie wdział rzymskiej szaty?

BIESIADNIK DRUGI

(śmiejąc się szyderczo).

On jest w żałobie po swych przyjaciółach,
Których ścąć mają!

DOFFO.

Za świadków was biorę,
Zakład wygrałem! On nie przywiódł Leny.

WSZYSCY.

Świadczymy wszyscy, cudnej Leny niema!

GWIDO.

Możecie wygrać jeszcze zakład drugi:
Sto skudów stawię, jeśli z was kto zgadnie
Kędy jest Lena?

FLORA.

W Remulusa grodzie?

BACHANTKA.

Porwana przez Cezara.

NIMFA.

U beja Algieru?

BIESIADNIK PIERWSZY.

W haremie u sułtana?

BIESIADNIK DRUGI.

Utonęła w winie.

BIESIADNIK TRZECI.

Skradziono jej brylanty?

DOFFO.

Nie, wy wszyscy
Nie znacie Gwida, — smok zazdrości!
O zakład idę, że nieszczęsna Lena
Jęczy pod ziemią przez zbirów strzeżona.
Jak druga Pija dei Tolomei.

GWIDO.

Nikt z was nie odgadł, — Lena jest w klasz-
[torze.

WSZYSCY.

Ona? w klasztorze! żart gruby! A! chyba
Sam ją zamknąłeś...

GWIDO.

Weszła dobrowolnie.

DOFFO.

Cha! cha! rywala znalazłeś w Jehowie!
Jakże go zgładzisz?

GWIDO.

Są tu jego słudzy
Co radość życia psują.

WSZYSCY.

Śmierć frateskom!

GWIDO.

I prorokowi ich!

BOTICELLI (do Gwida ciszej).

Lud usłyszeć może,
Jeszcze nie pora.

GWIDO (głośno).

Teraz czas zabawy,
Na później zemsta! Dzisiaj chcę zapomnieć.
Dzisiaj chcę szaleć! Któraż z was, boginie
Zechce pocieszyć mnie?

KOBIETY.

My wszystkie!

GWIDO.

Wszystkie?

To znów za wiele!

FLORA.

Szczęścia nigdy nadto...

GWIDO.

O! o! o! szczęście... Hołd złoży Wenerze
Bachus i Amor, to jedyne bogi.

Spiew.

Dziś tylko pewne, więc pijmy wino,
Całujmy usta Franceski,
Rozkoszy pasmem niech dni nam płyną.
I niech się wściekną Frateski!

Ponurych bogów księżom zostawmy,

Niech ciemne modlą się mnichy,

A my się bawmy, a my się bawmy,

I wychylajmy kielichy!

Przodkowie nasi mędrkami byli,

Umieli korzystać z bytu:

Miłość i wino gdy postavili

W swoim Olimpie u szczytu.

Wesoło bracia, w górę puhary!

Niech okrzyk leci w niebiosy;

Składajmy u stóp nasze ofiary,

Bacha i matki Erosa!!

(wylewają czary na ołtarz).

SCENA IX.

Ciż. — przez drzwi na prawo wchodzi SAVONAROLA
staje jakby zdumiony; obecni, pomieszani, cofnęli się nie-
co. — SIMONE FILIPEPPI brat BOTICELLI'EGO.

SAVONAROLA.

Pogańskim bóstwom składacie ofiary...

Do waszej miary, młodzi patrycyusze,
Ten kult przystaje. Lecz jakżeście śmieli
Wdziać Rzymian szaty? Ach, ojców puścizna
Za wielką dla was, drżące karłów plemię!
Wdziać szaty łatwo, lecz kędyż są serca?
Potężne rzymskie serca, co przed wrogiem
Nie znały trwogi, ani w domu pana?
Wy niewolniki za jarzmem stęsknione,
Wy korne sługi Franka lub Teutona,
Wam że to sięgać po Rzymu puściznę?
Wam-że to Rzymian przedrzeźniać zwyczaję?
Cezary świat zdobyli, zanim oszaleli,
A waszym czynem jedynie szaleństwo!...

DOFFO.

Savonarola! Twe miejsce na Forum!...

SZMER WŚRÓD BIESIADNIKÓW.

Co za wymowa! Nigdy go nie słyszałam!

GWIDO

(mierząc Savonarolę wściekłym wzrokiem).

Po coś tu przyszedł? Nikt cię nie zapraszał.

SAVONAROLA.

Gdy jest zebranie, przychodzę po kweście,
I gdym przemówił w miłosierdzia imię,
Nikt mnie w Florencji dotąd nie wygonił.

GWIDO.

Nie dość ci świątyń do kazań, i głupiego
Motłochu na słuchaczy?

DOFFO.

Niechaj mówi.

PIERWSZY BIESIADNIK.

Gniewać się trudno, — on prawdę powiedział.

(zrzuca z głowy wieniec laurowy).

GWIDO.

Więc go słuchajcie, jeżeli was bawi...
Posypcie głowy popiołem.

NIMFA (do Bachantki ciszej).

Jak wściekły

Vespucçi! Lenę zapewne nawrócił
Ojciec Hieronim.

SAVONAROLA.

Przyszedłem poprosić,

Abyście dali z tego co wam zbywa
Cząsteczkę dla tych, którzy nic nie mają.
Nie zawsze nędza występku jest córą.
Są na tej ziemi tak straszne niedole,
O których dzieciom szczęścia się i nie śni...
Jakże tu mówić wam, tutaj zebrany
W wykwintnej sali, przy sutym bankiecie,
Strojnym w jedwabie, z uwieńczonym czołem
Iż tam, za progiem, są pół nędzy ludzie,
Z zapadłym okiem i myślą zagasłą,
Którzy konają z głodu! Wasi bracia.
Wasi rodacy, równe wam istoty.
Wstrętną jest rzeczą patrzeć na nędzarzy...
Słuchać o nędzy nie nawykłe uszy,
Pieszczone rytmem Lorenza piosenek,
Albo wykwintną retorów wymową.
Lecz biada! biada, jeśli nie przejrzyście,
Bo tłum, ten ciemny, wzgardzony, — to fala,
Co bije wściekle o pałaców mury.
Nędza, to lawa kipiąca wulkanów,
Co niewidzialna długo wre pod ziemią.
Aż buchnie nagle i grody obali!
Baczcie więc, baczcie, ażeby jęk ludu
Nie zamienił się na ryk lwa pustyni...
By między wami dla których zabawa.
Rozpusta płaska, jedynym jest celem
Marnego życia, a onym tam tłumem,
Nie rozwarła się przepaść, — by lud pijany
Zemstą, a ciemny, nie chciał tej przepaści
Wypełnić w chwili szaleństwa gruzami
Pałaców waszych, trupami szczęśliwych!

Bo wasz to zbytek i wasza bezmyślność,
Podnieca zbrodnie i występki ludu.

DOFFO (do siebie).

Czas wielki sprzątnąć tego, co wygłasza
Podobne zdania.

BIESIADNICY i KOBIETY

(składają na tacę swe klejnoty i pieniądze, — kobiety
płaczą).

Masz ojczyzno wspaniałą,
Zachowaj miasto od klęsk tak okropnych,
Szpitale załóż i domy ochrony.
Niech wszyscy piją wino, byle dali
Mi wypić moje.

DOFFO (składając też datek).

He! masz, masz, trybunie
Masz i mój datek; my się dobrze znamy.
Pamiętaj o mnie.

SAVONAROLA.

Dziękuję, panowie,
W imieniu biednych. Radbym podziękował
Bagu za łaskę, gdybyście zechcieli
Odmienić życie.

GWIDO (do obecnych).

Po co go słuchacie?

Ja mu nic nie dam. Ten Dominikanin
Ma dość pieniędzy na swoje intrygi...
Myślałem dotąd, iż tylko gawiedzi
I białogłowom on zawraca głowy,
Ze wstydem widzę że i was omamił.
(Savonarola, podczas tych słów, wezwał skinieniem Boti-
celli'ego i oddaje mu tacę z uzbieraną kwestą).

SAVONAROLA.

Tobie powierzam, Messer Boticelli,
Ubogich mienie, złóż-że jutro rano
W Gonfaloniera ręce, niech je rozda
Rodzinom biednych, którzy chorych mają.

GWIDO.

Mnie nie oszukasz kłamanem cnoty,
Nie wierzę w Boga, ni w cnoty człowieka.
Cóż cię obchodzić może los ludzkości,
Albo los kraju? Odwieczni kuglarze!...
Kapłan Izidy, Jowisza, Chrystusa...
Różnica nazwy, oszustwo tożsamo,
Typ jednakowy... Ludzi odsyłają
Po wieczne szczęście do przyszłego życia.
By sobie skarby na ziemi gromadzić.
Praktyczni ludzie, jak mi Bachus miły!

SAVONAROLA.

Kędyż te skarby moje są, Vespucci?
Oprócz tej szaty i kilku ksiąg starych,
Nic nie posiadam.

GWIDO.

Tyś nie złota chciwy,
A chciwy sławy. Ty chcesz, by przed tobą,
Jak przed Mojżeszem ongi, świat się korzył.
Ty się najgłępszej uchwyciłeś sprawy,
Jaka pod słońcem jest, — lud chcesz podnosić.
Lud uszczęśliwiać. Ujrzymy niedługo,
Jaki rezultat twoich starań będzie...
Chyba że jutro, przy ogniowej próbie,
Cud działasz.

SAVONAROLA.

Nie znasz zgola mej doktryny.
Boś nigdy kazań ni pism mych nie czytał.
Ja szczęścia pragnę klas wszystkich. — Flo-
[rencyę,

Włochy. świat, jedną objąłem miłością!
Szczęście ludzkości widzę tylko w walce
Z namiętnościami i zwycięstwie ducha.
Ponad zwierzęcym instynktem człowieka,
Jak uczył Chrystus.

GWIDO.

Górnobrzmiące słowa!

Słowa, to liczman lśniący bez wartości,
Na targu życia żadnej wagi nie ma.

SAVONAROLA.

Wszak śmierć za prawdę nie będzie czczem
[słowem?
Ty się nawrócisz, gdy będę umierał.
(wychodzi).

BOTICELLI

(zamyślony, usuwa się w głąb).

Może ma słuszość ów Frate spokojny,
Gdy my się w walce szarpiemy bez końca.

SCENA X.

Ciż, prócz Savonaroli; — kobiety posmutniały, wielu z biesiadników porzuciło z głowy wieńce; — chwila milczenia.

DOFFO.

Naprawdę prorok, gdy swój zgon przeczuwa.
Gdybym pod ręką miał ostrze sztyletu.
Nie wyszedł by stąd żywy ten burzyciel.
(wraca na swoje miejsce).

GWIDO (również).

Mnich, jako widzę, mocno was zatrwożył
Obrazem zemsty ludu. Kto podnieca
Ów lud? Kto w ręce plebsu oddał władzę?
Kto w onej trzodzie bydła myśl rozbudza,
Jak Galilejczyk ongi w drżącym tłumie
Pokornych niewolników? On jedynie...
Savonarola! Skoro go zgładzimy,
Florencki motłoch wróci do łańcucha.
I grozić nam przestanie.

JEDEN Z BIESIADNIKÓW.

Gdy miasto za nim? Jak go zgładzić,

DOFFO.

Użyjem tych samych,
Nad których dołą on tak się rozczula...
Ha! lud proroków swych chętnie zabija,
I z próby ognia korzystając właśnie,
Na jutro rozruch już mamy gotowy.
By liczbę zwiększyć tych tumultuantów,
Przyślijcie służbę waszą zbrojną w kije,
Noże i miecze, — w szturmie na San Marko
Zabiją mnicha i spokojność wróci.

BACHANTKA.

Niežnośni ludzi z was. — Po co właściwie
Wy nas wezwali tu? Tyle dobrych rzeczy
Jest tu na stole, a nic jeść nie można,
Z tą wieczną polityką!

FLORA.

Accidenti!

Te wieczne partye.

DOFFO.

Macie słuszość dziewczki,
Mnie w gardle zaschło. Hej! podajcie wina!
(Boticelli nalewa).

GWIDO (podnosząc kielich).

Piję na rychły zgon Savonaroli!

SCENA XI.

Ciż, wchodzi ALEKSANDER TORNABUONI przez drzwi
w głębi z chustką skrwawioną w rękę, blade z rozwianym
włosem.

ALEKSANDER

(rzucając chustką w twarz Gwida).

Rzuć ten płyn mdlawy, nędzny sybaryto,
Pij krew przelaną!

GWIDO.

Splamiłeś mi szaty!

ALEKSANDER.

Szaty obmyjesz tak, jak twe sumienie...
Lecz płamę z mojego imienia kto zmaże?
Kto zgładzi z serca ból, a z mózgu pamięć?

DOFFO.

Czyliż by brat twój?

INNI BIESIADNICY.

Czyliżby spiskowi?

ALEKSANDER.

W tej chwili padli pod toporem kata.

WSZYSCY (zrywając się).

Zgroza!

ALEKSANDER (wskazując na Gwida).

A ten ich współnik bankietował!
I pewno w duchu rad, iż już zginęli!...

GWIDO.

Mnie, Aleksandrze, o ich śmierć obwiniasz?
Ich potępiły prawa miastu dane
Przez Hieronima, — on mógł ich ratować.
Przeklinaj jego!... Wiesz czyja wymowa
Signorię przekonała? Ten Valori,
Ten twój przyjaciel na ich zgon nastawał.
Na nim poszukuj krwi!

ALEKSANDER (jakby pijany).

O tak, Frateschi!

Valori i Savonarola! Zemsty!

DOFFO.

My nad zgładzeniem mnicha już od dawna
Pracujem. Jutro przez nas wymyślona
Ogniowa próba skończy się rozruchem,
Zabiją tego proroka.

ALEKSANDER.

To dobrze!

Jeżeli jutro ten kuglarz nie padnie,
Rozbiję klasztor i wyrnę Valorich!

JEDEN Z BIESIADNIKÓW.

(podając mu kielich).

Napij się wina.

ALEKSANDER (odpychając kielich).

Jam jest i tak pijany.

(chwyta ze stołu chustę skrwawioną i do ust przyciska)

Tą krwią pijany, tą krwią co przysięgam
Pomścić, aż we krwi zabójców ochłonę!

(Zasłona spada).

AKT PIĄTY

SCENA I.

Sala biblioteki w klasztorze San Marko. — Na prawo dwie drzwi wchodowych, na lewo wielkie okna, raczej drzwi oszklone balkonu, — w głębi półki z książkami, — pośrodku długi stół, zielonym suknem pokryty, na którym stoją manuskrypty i książki.

SAVONAROLA

(sam, — patrząc przez okno i ręką wskazując na horyzont).

Oto wspaniały i godny jedynie
Stwórcy jest kościół. Lampą Mu to słońce,
Na złotych sznurach wiszące płomieni,
Ołtarzem ziemia, a ofiarą czyste
Człowieka serce. O! Italio moja,
W tobie szmat nieba rzucił Bóg na ziemię.
A zbrodnie ludzkie w piekło cię zmieniły!
Chciałem odrodzić, uszlachetnić, zbawić...
I nie zdołałem. Zbawiciel nas uczył.
Iż słowo ludzkie to siew — niewiadomo
Kiedy upadnie i jaki plon wyda.
Ja siałem miłość Boga i bliźniego,
A wszedł fanatyzm! Oto dzień wczorajszy
Śmiertelny cios mi zadał — chcieli cudu...
Wołali abym cud uczynił! Boże!
Jakże ty ciężką zesłałeś mi próbę!
Mój lud przeciwko mnie... a zaś ci sami.
Co ku mnie łzawe obracali oczy,
Gdym do nich mówił o dobroci Pana.
Ci sami, wczoraj, miotali przekleństwa.
Zniewagi, groźby... Za co?... Księża moi
Stanęli, w płomień stosu iść gotowi...

Zląkł się i ukrył tylko Franciszkanin...
A lud mnie groził... Zwyciężyli wrogi.
Bądź wola twoja, Panie!... Ten, co widział
Jak ja, zniszczone długich lat starania,
I w proch rozbite szczytne ideały,
Temu straszniejszym od śmierci jest życie!

SCENA II.

SAVONAROLA, SODERINI, DAVANZATI, BACCIO,
DELLA PORTA.

SODERINI.

Spieszmy wszyscy, ojcie Hieronimie,
By cię upewnić, iż masz wielu wiernych
I czią dla ciebie przejętych przyjaciół,
Gotowych bronić twojej drogiej głowy.

SAVONAROLA (ścisnąc ich ręce).

Dzięki! Co widzę? Messer Davanzati
Wdział zbroję, jakby w czas wojenny.

DAVANZATI

Trzeba

Na wszystko być gotowym.

BACCIO.

Nigdy w życiu

Nie przypuszczałem, aby lud florencki
Tak się mógł zhańbić! Wszak Dominikanie
Ze swym przeorem trzy godzin czekali
Na próbę ognia. I Fra Domenico
Wszystkim żądaniom wrogów czyniąc zadość,
I szaty zmieniał i krzyż święty złożył,
Kiedy przeciwnik jego, Franciszkanin,
Ukrył się drżący i Signorię błagał,
By zawieszono próbę. Wbrew tym faktom
Florencki lud, niewdzięczny, ojca swego
I dobroczyńcę potępia.

DAVANZATI.

Nie do wiary,
Co się z tym ludem stało! Jakiś dziki
Szał go ogarnął? Gdyby nie me strażę,
Wracającego w swe klasztorne mury
Fra Hieronima, byliby zabili...

SAVONAROLA.

Mój lud przeciwko mnie! Ah, ból uczulem,
Jaki rozdzierał Zbawiciela serce.
Kiedy hebrejski tłum wołał „ukrzyżuj!“

SODERINI.

Lud jest, jak zwykle, li ślepem narzędziem
Przewrotnych ludzi, co go wyzyskują
Dla własnych celów zemsty albo dumy.
Oddawna pośród motłochu nurtują
Wysłańcy Borgiów i księcia Ludwika...
Lecz to najgorsze, iż obietnicami
Signorię skusić zdołali, a w mieście
Znow górze wzięła arrabiatów partya.
Przez rozpustnika Doffo prowadzona.

SCENA III.

Ciż, BINI i VALORI, obaj bardzo zatrwożeni.

BINI.

Spieszmy do cię, mistrzu, z ostrzeżeniem:
Snują się w mieście podejrzone twarze.
Po szynkach lud się gromadzi, — słychać
[krzyki

Grożące śmiercią, tak zwanym Frateskom.
Napad gotują na klasztor San Marco.
I ciebie, ojczu, mianują oszustem.
Który prorokiem się głosił, a cudu
Uczynić nie mógł.

(Savonarola stoi blady i milczący).

DAVANZATI.

Z grózb onych powodu,
Zebrałem nieco naszych do kościoła,
I broni trochę rozdać im kazałem.

SAVONAROLA.

Coś ty uczynił! Przebóg! My orężem
Odpierać byśmy mieli przeciwników?
My zakonnicy, Bogu poślubieni...

VALORI.

Myśmy przybyli by ciebie ocalić...
Nie raz to pierwszy niecą te rozruchy
Medyceusze i inni książęta,
By przez zabójstwo ojca Hieronima
Zgładzić florencką wolność! Połączeni
Działają podle, — i my się połączmy
W świętą falangę, ażeby ocalić
Niewinną głowę prawodawcy.

WSZYSCY.

Do krwi
Ostatniej kropli, bronić go będziemy.
(podają sobie ręce).

SAVONAROLA

(kładąc dłoń na ich połączonych rękach)

Gdybym ja mógł tak wszystkie wyższe duchy
Połączyć w jedność — ale nie w mej sprawie...
Jam tylko szermierz w tym licznym orszaku
Walczących o przyszłość lepszą,—jedna głowa
Nie wiele znaczy.

BACCIO.

Tyś jest odrodzenie,
Tyś jest Włoch przyszłość.

SAVONAROLA.

Ja się omyliłem.
Sądząc, iż w mocy jednego człowieka
Ludzkość odmienić. Na to wieków trzeba,
Wytrwałej pracy wielu zacnych ludzi.

I krwi przelanej wielu sprawiedliwych.
Mnie zgładzić mogą, ale nie zdołają
Mej myśli zabić. Może moje ciało
Do jutra będzie tylko zimnym trupem...
Do was obecnych zwracam moje słowa,
Innym je nieście. Idźcie po tej ziemi,
Tej naszej pięknej a rozdartej ziemi,
Nie z nożem mordy, nie z głównią pożogi,
Ale z miłości i jedności słowem...
Niechaj Italia pierwej, niżli wrogi
Domowe, właśnie z swych granic wygoni.
W sercach wyryjcie hasła nieśmiertelne:
„Wiara, ojczyzna i wolność!”
Każdy Włoch onych niech będzie szermierzem,
Nie znoście oków, chociażby je zręcznie
Pod wawrzynami ukryto. Despotyzm,
Pomnijcie bracia, jest to wieko trumny,
Zapada łatwo, — ciężko je podźwignąć...
Cicho tam pod niem, ale brak powietrza...
Spokój pozorny, lecz robak zepsucia
Tak nieruchome społeczeństwo toczy,
Aż się w zgniliznę zmieni, w proch rozsypie.
Nigdy tyrana! Jezus waszym królem!
To treść mojego życia — mój testament.

BACCIO.

O, ty nie umrzesz! Ty umrzeć nie możesz!
Czemże Florencja byłaby bez ciebie?

SODERINI.

Myśmy maluczcy, lecz jest w naszej mocy
Przechować słowa twe. I będą one
Nam sterem w życiu, pośród rozhlukanych
Fał namiętności.

(słysząc za sceną tumult).

VALORI.

Co to znaczyć może?

Czyście słyszeli?

DAVANZATI.

Lud wzburzony ryczy...
Znane mi dobrze te głosy tygrysie.

SCENA IV.

Ciż, — wchodzą przez drzwi z kościoła wiodące FRA DOMENICO, FRA SILVESTRO, kilku zakonników i kilku nowicuszów, z których jeden ranny z głową owiazaną chustą, siada pół klęcząc pod ścianą na ziemi przy ołtarzyku. Zakonnicy są bladzi i strwożeni, — SAVONAROLA.

LA też niespokojny, podchodzi ku nim.

FRA DOMENICO.

Przeorze, kościół nasz jest napadnięty!
Tłum uzbrojony w miecze i siekiery,
Drzwi chce wywalić kościoła i boczne
Klasztorne furty.

FRA SILVESTRO.

Do okiem kościoła,
Tych naszych okien cudnie malowanych,
Ciskają grad kamieni; kilku naszych
I wiernych kilku, co nam pomagali
Zatarasować drzwi, jest ciężko rannych.
Co czynić mamy?

SAVONAROLA.

Modlić się, o bracia.
Aby Bóg raczył oświecić zbłąkanych,
A nas opieką otoczył.

SODERINI.

Brońmy księży!
Z założonemi rękami stać nie możemy.

DAVANZATI.

Co za nikczemność podłych arabiatów.
Ja do kościoła spieszę, z okien chóru
Spróbuję czyli strzałami z rusznicy.

Którą tam skryłem, napad przewidując.
Nie zdołam spłoszyć onych napastników.

SAVONAROLA (usiłując go powstrzymać).
Przebóg! Co czynisz! Do mojego ludu
Strzelać zamierzasz z klasztoru San Marko!

BINI.

To nie jest lud twój, to motłoch najemny!

SODERINI.

To są zbrodniarze na żołdzie twych wrogów.
My ich na chwilę zatrzymać zdołamy
A ty, ojczu uchodź!

VALORI

(który z balkonu się rozejrzał).

Tak jest, uchodź!

Jeszcze możliwość jest — jeszcze przez balkon.
Ta część klasztoru dotąd jeszcze wolna.

WSZYSCY (do Savonaroli).

Uchodź co prędzej!

SODERINI (podaje mu płaszcz).

Zmień szaty, za miasto

Spiesz do mej willi.

VALORI.

Skoro noc zapadnie,

My do Livorno ciebie przeprowadzim.
Tam są francuskie statki, i natychmiast...

SAVONAROLA.

Ja mam uciekać? Czyż jestem zbrodniarzem?

VALORI.

Ofiarą jesteś, którą wydrzeć wrogom
Jest obowiązkiem naszym. Wnet powrócisz.
Florenca przejrzy.

SAVONAROLA.

Albo wy wątpicie...

(stoi jakby walcząc z sobą).

NOWICYUSZ (ranny).

Za swoje owce kładzie pasterz życie.

SAVONAROLA

(zdumiony patrzy na nowicyusza, potem do obecnych).

Czy wy słyszycie? przez maluczkich usta,
Bóg prawdę głosi. Tutaj pracowałem,
I tu strudzoną mą głowę położyę.

VALORI.

Z boleścią twoją szanujemy wolę.

BINI.

Czyliż podobna, by rząd Republiki
Nie przysłał straży, bu rozruch uśmierzyć?

VALORI.

Przysła najpewniej, — ale pomoc ona.
Przyspieszyć trzeba, bo wobec wściekłości
Motłochu, straże przyjść mogą zapóźno...
Wkrótce możemy być zewsząd zamknięci.
Więc do Signorii śpieszę, by co rychlej
Rozruch uśmierzyć.

SODERINI.

Niezupełnie ufam

Signorii gorliwości. — Idę z tobą,
Aby co rychlej tu przysłać me straże.

SAVONAROLA (podając im ręce).

Żegnajcie druhy!

(obejmuje i ściska Valori'ego)

Żegnaj mi, Francesco.

VALORI (do Savonaroli).

Dlaczegoż ty mnie tak żegnasz, mój ojczu?
I lza z twych oczu padła na me czoło?

SAVONAROLA.

Żegnaj Francesco! Niech ci Bóg nagrodzi
Twą stałą przyjaźń dla mnie! Może więcej

Was już nie ujrzę, — pamiętajcie o mnie.
(Obaj, wzruszeni bardzo, ściskają Savonarolę i odchodzą
przez balkon, który za nimi zamykają).

SCENA V.

Ciż, prócz Valori'ego i Soderini'ego.

SAVONAROLA (do księży).
Idźcie, o bracia mili, do kościoła,
Śpiewajcie psalmy. — Zabierzcie z ołtarzy
Najświętszą hostyę, aby w chwili szału
Lud nie znieważył świętości.

FRA SILVESTRO (drżący).
Przypuszczasz,
Iż napastnicy wedrzeć się zdołają?

SAVONAROLA.
Nie wiem, tu jest bezpieczniej i zapewne
Signoria pomoc nam przyśle.

FRA DOMENICO.
Idźmy bracia,
Hałas wciąż rośnie, lada chwila mogą
Wpaść bezbożnicy w poświęcone progi.

FRA SILVESTRO.
(idzie za nimi błdy i drżący).
O Boże wielki, zmiłuj się nademną.
A! na męczeństwo nie jestem gotowy.
(wszyscy wychodzą przez drzwi do kościoła wiodące).

SCENA VI.

SAVONAROLA (sam).
Nadeszła chwila próby i cierpienia...
Nie wiem jak zginę — czy nagły cios padnie.
Czy przyjdzie skonać wśród mąk?

Ale czemże
Najsroższy ciała ból wobec boleści
Duszy, co wszelką straciła nadzieję?
O, jak mi smutno, Boże, jak mi smutno,
Śmiertelnie smutno... Panie! Panie!
Ciężkoś mnie dotknął. — Niech będzie Twa
wola.

(klęka).
Przed nią się korzę... O jedno Cię błagam,
Skrzep mego ducha, który z przyrodzonej
Obawy śmierci drży, — z trwogi omdlewa.
Jako ja zdołam znieść śmierć i męczarnie?
Gdyż czuje żem jest w moich wrogów mocy....
Bezbronny... sam... jak ów liść suchy,
Którym pomiata wichur... Sam? Tyś przy mnie,
Czuję obecność twoją... Ty nie karę
A próbę zsyłasz, — wszak śmierć tych co
prawdzie

Odwiecznej służą — ta jedna odkupia
Z dzikości jej zwierzęcej ludzkość — i oświeca
Bardziej, niż wszelka słów naszych wymowa.
(wstaje).

SCENA VII.

SAVONAROLA, BACCIO DELLA PORTA.
BACCIO.
Ojcie przeorze! Okropne nieszczęście,
Messer Francesco Valori — zabity!

SAVONAROLA.
Przebóg! co mówisz? skąd wiesz?

BACCIO.
Coraz silniej
Grożące nam niebezpieczeństwo widząc,
Gdy lud faszyny przyniósł i zapalił
U podwoi kościelnych, wraz z innymi

Weszliśmy na dach, aby dachówkami
Razić napastujących. Z dachu widno
Plac, oraz znaczną część pobliskich ulic.
Valori ledwie obszedł kościół, zaraz
Obskoczył go groźny motłoch,—a w tej chwili
Nadbiegła biała Varoli'ego żona,
Z włosiem w nieładzie, krwią zbroczonych
szatach

Wołając: „Ratuj mężu! nasze dzieci
„Pomordowano i dom chcą rozwalić!“
Z tłumu padł wystrzał i tę nieszczęśliwą
Ugodził w piersi. Valori w rozpacz
Dobyl oręża, lecz wnet się rzuciło
Na niego wielu, i padł pod ciosami.

SAVONAROLA.

Czy nie zdołałeś rozróżnić morderców?

BACCIO.

O, mogłem widzieć ich dobrze, — nie byli
To ludzie z gminu — i Tornabuoni
Z Rudolfim szli o lepsze, który zada
Śmiertelny cios ofierze!

SAVONAROLA.

O, mój Boże!
Odwołaj duszę moją z tego piekła,
Nie każ mym oczom patrzeć na ohydny
Przelew krwi bratniej! — Drogi mój Valori!
Duszy mej bracie! Bez przygotowania
Na sąd najwyższy musiałeś się stawić...
Bądź mu miłościw Panie! Żonę, dzieci...
Niewinne dzieci zamordować śmiano!...
O!...

(zakrywa oczy ręką, aby ukryć łzy).

SCENA VIII.

Ciż, wchodzi: FRA DOMENICO, niosąc nakryty kielich,
który składa na ołtarzyku. Zakonnicy wylekli, bladzi, śpie-
wając psalmy. Za nimi wchodzi płaczące kobiety i dzieci,
mężczyźni niektórzy uzbrojeni. — DAVANZATI. — Przez
drzwi otwarte do kościoła, które zaraz zamykają, wciskają
się kłęby dymu. Savonarola stoi ciągle nieruchomy — jakby
nie widząc co się w koło niego dzieje.

WIELE GŁOSÓW.

Przeorze! drzwi podpalili, — niedługo
Ogień ogarnie kościół.

DAVANZATI.

Nie wiem zgoła
Co dalej czynić... Tłum klasztor okrzyknął,
Wchodowe drzwi już płoną!

SAVONAROLA.

Tak jest, płomień
Zniszczenia Włochy ogarnął... W płomieniu
Topnieją mitry, tiary i korony...
Rzym kupą gruzów... Italia cmentarzem?
Za ojców winy — przez długie stulecia
Naród nasz dźwiga okowy niewoli!
Módlmy się bracia! Nie o nasze życie
Błagajmy Boga, lecz by litościwym
Był dla ojczyzny naszej, i przelaną
Krew naszą raczył przyjąć na ofiarę!

(Wszyscy obecni otaczają Savonarolę płacząc, wielu całuje
jego szaty. — Słychać silne pukanie do zewnętrznych drzwi
biblioteki, oraz głosy):

„Otwórzcie w imię Signorii!“

DAVANZATI.

Nareszcie zda się odsiecz nam przysłać...

(do Savonaroli).

Co mam uczynić?

SAVONAROLA.

Nie jesteśmy sami...
Mógłby z motłochu kto w imię Signorii
Przemawiać do nas, by przez drzwi otwarte
Wpadłszy, obecnych wyróżnić.—Spytaj pierwszej
Kto są, i z jakim przychodzą rozkazem,
Oraz, czy rozkaz na piśmie?

DAVANZATI.

(idzie do drzwi i po chwili wraca z papierem).

Tak, ojcze,
Od Signorii rozkaz, w którym piszą,
Ażebyś, ojcze, wraz z Fra Domenikiem
I Fra Silvestrem stawiał się niezwłocznie
Wobec dostojnej rady — i, by wszyscy
Obecni święte opuścili mury.

SAVONAROLA (biorąc papier, przegląda).
Dziwny to rozkaz, lecz słuchać należy,
Podwoje otwórz Davanzati.

OBECNI (z płaczem).

Ojcze!
O! nie opuszczaj nas! Nie dawaj wiary
Tym nikczemnikom! Oni cię zabiją!

SAVONAROLA.

Z przyczyny mojej nie chcę, by płonęła
Krew mych współbraci, skoro mogę
Ofiarą życia mego, spokój wrócić...
Nie pora zwlekać dłużej — drzwi otwórzcie!

SCENA IX.

Ciż, wchodzi GIOVACHIMO, KOMENDANT BARGEL-
LA, za nim straż, — do drzwi otwartych ciśnie się lud
rozbestwiony.

LUD (wołając).

Śmierć oszustowi! Śmierć czarownikowi!

SAVONAROLA (do Komendanta).

Otom ja gotów na rozkaz Signorii
Stawić się, — przy mnie też Fra Domenico.
Twojej opiece zdaję, komendancie,
Kościoła całość, Zakonników życie.
Pójdźmy...

GIOVACHIMO.

O, nie tak, wielbny przeczcie,
Coś był tu sprawcą gwałtów i rozruchów,
Nie z skargą tobie stawać przez Signorią,
Lecz jako obwiniony...

SAVONAROLA.

Ja!? I o cóż
Mnie obwiniają?

GIOVACHIMO.

Hm! zaraz się dowiesz...
Mnie nic do tego... Kazano nałożyć
Ci branzoletki...

(biorąc okowy z rąk jednego ze straży).

SAVONAROLA.

Mnie włożyć okowy?
I to z rozkazu florenckiego rządu!

WIELE GŁOSÓW.

Brońmy go! Brońmy! Śmierć zdrajcom
Frateskom!

INNE GŁOSY.

Śmierć! Śmierć Frateskom i Savonaroli!
(Tłum rozścieczony wciska się coraz bardziej. — Zakon-
nicy osłaniają Savonarolę, jego zwolennicy płacząc pokle-
kali wokoło. — Giovachimo nakłada mu na jedną rękę
okowy, podczas gdy Savonarola drugą ręką błogosławi
swoich).

(Zasłona spada).

AKT SZÓSTY

SCENA I.

Sieñ w Pallazzo Vecchio, — na lewo drzwi wchodowe, przy których stoją HALABARDNICY, — na prawo, w głębi, wschody wiodące na piętro i drzwi do pokoi parterowych.

GWIDO VESPUCCI chodzi niespokojny. — DOFFO SPINI.

GWIDO.

Przekłeta sprawa, tak długo się wlece,
Sądzą i sądzą — a skazać nie mogą!...
Myślałem w gniewie, iż zemsta nad mnichem
Napełni serce rozkoszą... przeciwnie...
Bezsensność trapi, gorączka mię trawi,
Chociaż raz tylko jeden byłem świadkiem,
Gdy na torturę brali Hieronima...
Ten wzrok łagodny a pełen boleści...

(chwytając się za czoło).

Zapomnieć!... O! zapomnieć... bo inaczej
Oszaleć przyjdzie...

(wchodzi DOFFO SPINI przez drzwi na prawo).

GWIDO (idąc ku niemu).

Wszak byłeś na sądzie?

DOFFO.

Dziwaczne miewasz Gwido roztargnienia;
Sądzisz iż moją dożywnością funkcyą
Jest na tortury brać Savonarolę?

GWIDO.

Masz słusność, funkcyą twoją się skończyła,

Odkąd go sądzą, z Rzymu tu przysłani,
Papiescy komisarze.

DOFFO.

Którzy sypią
Florenckiej radzie jakby z obfitości
Rogu, łask obietnice, tak niebieskich
Jako i ziemskich. Że też, tyle warte
Mizerne życie mizernego mnicha,
Nigdy nie sądził.

GWIDO (niecierpliwie).

Dość cynicznych żartów!

DOFFO.

Patrz, oto Messer Ceccone nadchodzi
Co nam pomagał spisywać zeznania
Savonaroli, a teraz podobną
Usługę rzymskim komisarzom czyni...
Od niego pewne będziesz mógł mieć wieści.

(Messer CECCONE schodzi ze schodów, Gwido idzie
naprzeciw niego).

GWIDO.

Nareszcie sprawa fatalna skończona!
Mnich był szkodliwy, zgładzić należało,
Ale dni tyle przeciągać męczarnie,
Niegodnem jest Florencyi, a jedynie
Jest Kanibalów godnem!

CECCONE.

Formalności

Prawnych, o Panie, pominąć nie można.

DOFFO.

No, jakże? Wreszcie znalazła się wina?

CECCONE.

Da cosa nasce cosa... Jeśli winy
Na prawdę nie ma, można oną stworzyć.

DOFFO.

Stworzyłeś pięknie. W obydwu procesach

Savonarola przemawiał jak święty,
I tych procesów nawet wydrukować
Nie można było.

CECCONE.

Jam zgoła nie winien.
Uwzględnić proszę, iżeśmy tu mieli
Z człowiekiem do czynienia cierpliwego
Nadzwyczaj ciała i silnego ducha.
Gdzie można było, od siebie dodałem.
Iż on tak działał w pysze — że lud zwodził.
W imieniu Boga mówiąc, aby łatwiej
Burzliwe miasto jego rad słuchało

GWIDO (z przekąsem).

Wieleś dokazał — lecz za takie winy
U nas nie karzą śmiercią.

DOFFO.

A! i gdyby
Nas nie wybawił Borgia swem żądaniem.
Wydania sądom kuryi winowajcy,
Uwolnić by go przyszło, — a za rozruch
Nam, sędziom, zasiąść na ławie skazanych.
Przy odnowionym wyborze Signorii.

CECCONE.

O! bądź spokojny, znalazła się wina...
Wyraz „kacerstwo“ jest tak elastyczny.
Tak bliski czarów, tyle zbrodni mieści!
Wysłannik Rzymu, ojciec Romolino.
Tu przybył z góry wydanym wyrokiem...
Tortury, proces, były li dla formy.

GWIDO.

Lub też dla zemsty.

CECCONE.

Hm... i to być może...
To rzeczy ludzkie... no tak, ale dzisiaj
Był dzień ostatni. — Wyrok już wydany
A jutro rano dopełnionym będzie...

GWIDO.

Jak brzmi ów wyrok?

CECCONE.

Śmierć przez uduszenie.
Zwłoki zostaną spalone na stosie,
Na środku placu, naprzeciw pałacu.

GWIDO.

Dreszcz po mnie przebiegł...

CECCONE.

Od dłuższego czasu
Te dreszcze czuję... Utraciłem zdrowie
Przy tym procesie, — a jeszcze onegdaj
Savonarola rzekł mi: „Messer Cecco,
„Porzuć te ziemskie zabiegi i zdrady,
„Myśl o twej duszy — masz umrzeć niedługo“
(z trwogą).

Jak wam się zdaje, czy on jest prorokiem?

DOFFO (wstrząsając się).

Djabliż go wiedzą! Tu zimno w tej sieni,
Idźmy na słońce.

(wychodzi z Cecconem).

GWIDO.

(stoi z rękami skrzyżowanymi na piersiach, patrzy za odchodzącymi i na strugę światła, która się przez drzwi przedostaje).

Słońce jasno świeci...

O tej godzinie jutro już Hieronim
Nie będzie go oglądał. — Za wydartą
Z mych objęć kurtyzanę, jam się zemścił!
Wraz z spiskowymi i moją współnietwa
Winę grób zakrył, — pod mściwymi ciosy
Ich krewnych upadł Franciszek Valori,
A z nim Fratesków partya. — Nie mam
wrogów,
Bezpieczny jestem, nic mi już nie grozi...

Czemuż tak ciemno i pusto w koło mnie?
Z onem bezpiecznem życiem cóż uczynię?

SCENA II.

Wchodzą te same zakonnice co w akcie drugim. PRZEŁOŻONA, LENA — wszystkie trzymają w rękach róże i lilie, na przodzie Przełożona i Lena. Gwido na widok Leny mocno wzruszony, cofa się parę kroków).

GWIDO (do siebie).

Tak, to jest Lena! Tak, to są jej oczy.
Te oczy, jakich żadna inna nie ma!
I twarz ta sama, a jaka odmienna!
Jak przezroczysta maska z alabastru.
Z za której płomień postawionej lampy
Przebija, strojąc w pozaziemskie blaski...
(namiętnie).

Leno!

PRZEŁOŻONA.

Umarła, panie, ta co była Leną.
Tu widzisz siostrę Maryę Magdalene.

LENA.

Co życzysz, panie?

GWIDO.

(walcząc ze wzruszeniem).

Dla kogo te kwiaty?

LENA.

Dla skazanego na śmierć.

GWIDO.

Powiedz prawdę.

Znalazłaś szczęście?

LENA (jakby w ekstazie).

Spokój — szczęście.

Odkąd z sumieniem moim jestem w zgodzie!

GWIDO.

Z sumieniem w zgodzie...
(chwytając się za czoło) O! o! o! sumienie!...
(wychodzi przez drzwi główne).

SCENA III.

Z za drzwi na prawo wchodzi JAKÓB NICCOLINI, w stroju czarnym członka stowarzyszenia „del Tempio“ i idzie ku wschodom; w tejże chwili przez drzwi główne wbiega ARABELLA, blada, przerażona, ujrawszy Niccolini'ego spieszy ku niemu.

ARABELLA.

(do Niccolini'ego, wstrzymując go).

O dobry panie, racz się wstrzymać chwilę.
Odpowiedz, błagam, na moje pytanie.
Widziałam cię wchodzącym w onej szacie.
Do kogo cię wezwano?

NICCOLINI.

Z onej szaty

Wszak widzisz, pani, iż wedle zwyczaju
Pociechę mam nieść temu, co nie ujrzy
Jutrzejszego wieczora.

ARABELLA.

Lecz do kogo?

Do kogo cię wezwano? Wieść obiega.
Iż dziś ojciec Hieronim?...

NICCOLINI.

Tak jest, pani.

Cierpienia jego wszak skończyć się mają.

ARABELLA (drżąc).

Być-że to może, by ludzka zaciekleść
Aż tak daleko mogła się posunąć!?
Panie, ty mówić z nim będziesz, o błagam.
Powiedz, iż we łzach tonie nieszczęśliwa.

Co namiętności szaleńcem uniesiona,
Użyć się dała za narzędzie wrogom
Świętego męża, może jest przyczyną
Nieszczęścia, jako też zabójstwa
Franciszka Valori'ego wraz z rodziną!
Że ta grzesznica, we łzach i rozpacz,
O przebaczenie błaga win, tak strasznych,
Iż się nie czuje godną miłosierdzia,
Ni łaski Bożej.

NICCOLINI.

To być łatwo może,
Iż Signoria była omamiona,
I nieogłędnie dopomogła wrogom
Savonaroli, w ich niecnym knowaniach
Lecz się uspokój, — nie ty go zabijasz...
Od dawna zguba ojca Hieronima
Przez Rzym i książąt była ułożona.
Stał im na drodze, zgładzić go musieli.

ARABELLA.

Chcesz mnie pocieszyć, panie, jako zwykłeś
Na śmierć skazanych koić, — lecz mej winy,
Wściekłości mojej, nie tłumaczy wina,
Ni wściekłość innych.

(Ze wschodów wchodzi powoli Savonarola, wśród straży,
blady, cichy, w modlitwie pogrążony, — na jego widok
zakonnice płaczą).

NICCOLINI (do Arabelli).

Oto go prowadzą.

ARABELLA (nieprzytomna).

O, wielki Boże! czemu on tak blady?!
Gdzie go prowadzą?

NICCOLINI.

Z tortur do więzienia.

(Arabella usuwa się na kolana przy jednym z filarów i tak
pozostaje nawpół omdlała).

SCENA IV.

Ciż, SAVONAROLA, STRAŻE. — Gdy się zbliża Savonarola ZAKONNICE i LENA klękają. — PRZEŁOŻONA podaje mu kwiaty).

PRZEŁOŻONA.

Te kwiaty tobie, ojczu, posyłam
Twoi bracia z San Marko.

SAVONAROLA.

(z smętnem uśmiechem biorąc je).

Piękne kwiaty...

Zawsze lubilem je — i teraz kwieciem
Mnie żegna ziemia, gdy na moim grobie
Ich nie zasadzą — bo moje popioły
Rozniesie wicher. Woń mię orzeźwiła...
Podziękuj braciom. Z tych róż jedną
Wezmę ze sobą, — zachowam na łonie
Do chwili zgonu. Te zaś śnieżne lilie
Odnieście braciom, a z niemi ostatnie
Wyrazy moje: niech wytrwają w wierze.
(wskazując w górę).

Tam się złączymy...

(Zakonnice płaczą).

LENA.

Pobłogosław, ojczu.

Florecyi biedne niewiasty!

ARABELLA.

(klęcząc i wyciągając ręce).

Błagam,

I mnie przeżegnaj i przebacz!!

SAVONAROLA.

Kto jesteś?

Nie znam cię, pani, cóż ci mam przebaczyć?

ARABELLA.

Ach! jam grzesznica! Ja się przyczyniłam

Do tylu zbrodni i nieszczęść, bezwiednie.
(chwytając się za czoło).

Rozpacz bez granic!...

SAVONAROLA.

Bóg jest miłosierny,
Jeśliś zgrzeszyła, módl się, czyn pokutę.

NICCOLINI (do siebie).

Wie o wyroku, więc go nie przerażę...

(głośno).

Czy mogę być w czem pomocnym?

SAVONAROLA.

Szlachetną
Jest misya twoja, — czekam cię w więzieniu.

(Zasłona spada).

ODSŁONA DRUGA

SCENA V.

W więzieniu Savonaroli, — na prawo niskie łóżko więzienne. — na lewo ławka, na której konewka z wodą. — po środku stolik i krzesło słomiane — w głębi ciężkie drzwi wchodowe.

SAVONAROLA.

(przy stole, składając papiery).

Tak oto stoję u wąskiego proga,
Co byt doczesny od wieczności dzieli...
I wnet się dla mnie podniesie zasłona.
Przed którą mędrców myśl stawiała drżąca.

(siada i opiera głowę na rękę).

Skazany na śmierć... i któż ze śmiertelnych.
Rodząc się na świat z sobą nie przynosi
Wyroku śmierci? Czas tylko nieznany
I rodzaj śmierci. — Czyli mi żal życia?
O, nie! Południe zaledwie przeszedłem dni

moich.

A wszystkie ziemi znam, o znam, gorycze.
Kiedy wstecz spojrzę na przebytą drogę,
I mą działalność wśród tego narodu,
Nic nie żałuję, nic nie mógłbym zmienić.
Ty wiesz, o Boże, żem był Twym żniwiarzem.
Dzień mój skończony — idę po zapłatę...

(patrzac na swoje pokaleczone ręce).

Ludzie mi dali taką, jaką zwykli
Nagradzać, płacę, — od nich nie czekałem
Też wcale innej...

Do jutra me ciało

Li garścią prochu będzie, przez płomienie
Jeszcze się rychłej połączy z atomy
Wszęchświata, z których początek swój wzięło,
A duch nareszcie, z ziemskich pęt rozkuty,
Wróci do onej wielkiej, tajemniczej
Pierwszej przyczyny, którą Zbawca kazał
Nazywać Ojcem. A więc, dobry Ojcze,
Przyjmij łaskawie syna, co powraca
Na łono Twoje po życiowym trudzie!
(pozostaje tak z rękami złożonemi jak do modlitwy i oczami
wzniesionemi w niebo).

SCENA VI.

Drzwi w głębi się otwierają — wchodzi NICCOLINI, bez
kaptura, staje i patrzy na modlącego się.

NICCOLINI (do siebie).

Od twarzy jego blask nie ziemski bije,
To bohaterski jest i święty człowiek.
(zbliża się i przyklęka).

Ojcze, pobłogosław mi!

SAVONAROLA.

O, mój synu!

Powstań, przyszedłeś aby mnie pocieszać.
A ty sam płaczesz. — Opuścić tę ziemię,
Wierza mi, nie jest największem
nieszczęściem.

Za twe współczucie niech ci Bóg nagrodzi,
I długie wieki twój lud błogosławi!

NICCOLINI (wstaje, ocierając łzy).

Jeżeli, ojcze, masz jakie życzenie,
Chciej je objawić. Dołożę starania,
By je spełniono. Tym, co się znajdują
W twem położeniu, nie zwykli odmawiać.

SAVONAROLA.

Proszę cię, powiedz, czyli nie widziałeś

Mych towarzyszy śmierci, innnych braci.
Silvestra i Domenica?

NICCOLINI.

Od nich idę.

SAVONAROLA.

Jakim umysłem ciężki wyrok znoszą?

NICCOLINI.

Znać po nich ojcze, że uczniami twymi.
Lecz są jak gdyby w gorączkowym stanie.
Dominik w wielkiem uniesieniu woła,
Że on na tryumf idzie i chce prosić,
Aby dozwolono żywym wejść na stopy;
Zaś brat Silvestro, czy słabszego ducha,
Czy ciała może, — źle znosił tortury,
Lecz po wyroku podniósł się na duchu,
Chciałby koniecznie przemówić do tłumu.
By niewinności swej i waszej dowieść.

SAVONAROLA.

Od dni czterdziestu ja ich nie widziałem.
Mnie ich fałszywe czytano zeznania,
A im zapewno fałszowano moje.
Chciałbym raz jeszcze ich ujrzeć i wspólnie
Się przygotować w drogę co nas czeka.

NICCOLINI.

Natychmiast prośbę przedłożę Signorii.
I wrócę modlić się i czuwać z tobą.

SCENA VII.

SAVONAROLA (sam).

Jak łódź się chwieje na wzburzonym morzu,
Tak umysł ludzki w stanowiącej godzinie
Waha się drżący; to nadziei fala
Na szczyt go wzniesie, to fala zwątpienia
Pograża w przepaść. Myśl o towarzyszach

Ku ziemi mię zwróciła, ponad którą
Mój duch już, w kręgach wieczystej światłości,
Szybował wolny. Biedni bracia moi!
Wierzyli mi, kochali, tyle innych
Szlachetnych serc miłością dla mnie biło.
Przyjaźń cnotliwych to węzeł jedyny.
To serca nasze tu silniej przykuwa.
I oni cierpieli tyle — a ja mam patrzeć
Na ich okrutny zgon! Ah! tu nareszcie
Z piersi zbolełej okrzyk się wyrывa
Skargi rozpaczny!...

Przebacz Boże.
Krewkości serca! Czyż my zginać mamy?
Wszak my padamy jak na walki polu
Upada szermierz, swojej krwi strumieniem
Zwycięstwo okupując. Krótka chwila trwogi,
A dusza w wiecznej harmonii utonie.

SCENA VIII.

Wchodzą FRA DOMENICO, FRA SILVESTRO, NICCOLINI; księży wchodzą z twarzą surową i obojętną, na widok Savonaroli ogarnia ich nagłe wzruszenie i milcząc klękają przed nim.

SAVONAROLA.

(podnosząc ich i ściskając).

O, bracia moi!

ZAKONNICZY.

Mistrzu ukochany!

SAVONAROLA.

Niech was przycisnę do mojego serca.
Po raz ostatni.

DOMENICO.

Tyś zawsze pozostał
Ten sam, nasz święty.
(do Silvestra).

Jam nigdy nie wierzył,
By prawdziwemi były nam czytane
Zeznania jego.

SAVONAROLA.

Kreślił je Ceccone,
I nie wiem co mi podpisać kazano.
Mnie wzajem wasze czytano procesy.

FRA SILVESTRO.

Wyznaję, ojcze, iż wobec tortury
Zasłaby byłem, — w paroksyzmie bólu
Mówilem, co mi oprawcy kazali...
Przebacz mi ojcze.

SAVONAROLA.

Słabe ludzkie ciało,
Choć duch ochotny. Jam nie sądem twoim,
Przed wspólnym sędzią mamy wkrótce stanąć.
I myślą naszą jedyną, o bracia,
By umrzeć jako na chrześcian przystało,
Bez trwogi i bez pychy. Dominiku,
Słyszałem, iżś wyraził życzenie,
W płomień wstąpić żywym. Wiesz-że, bracie,
Czyli nam serca starczy przenieść taką
Śmierć na jaką wyrok nas skazuje?
Ty zaś Sylwestrze, zamierzasz podobno
Do ludu mówić, ażeby dowodzić
Mu niewinności naszej. Czy ty sądzisz
Iż onej nasi sędziowie nie znają?
Interes i namiętność nas skazały,
Z tymi daremna walka. Ów tłum ludu,
Co jutro świadkiem naszej kaźni będzie,
Zbiegnie się tylko widowiska chciwy,
Jak niegdyś w Coloseum lud Cezarów.
On śmierci twojej a nie słów spragniony.
Śmierć, li zniesiona z spokojną powagą.
Jakiej wzór boski nasz Mistrz nam zastawił,
Ta jedna może poruszyć sumienie,
Jeśli nie wszystkich to przynajmniej wielu.

ZAKONNICZY.

(pochylają się i całują jego ręce).

We wszystkim, ojcie, będziemy posłuszni.

NICCOLINI (zbliżając się).

Z boleścią, mistrzu, przypomnieć ci muszę;
Iż czas upłynął ściśle oznaczony
Rozmowy twojej z bracią.

SAVONAROLA.

Ah! dozwolić

Signoria mogła byśmy noc ostatnią
Spędzili, modląc się.

NICCOLINI.

Usilniem błagał

O przyzwolenie, — lecz mi odmówiono.
Lękają się...

SAVONAROLA.

Czego? biednych mnichów,
Bezbronnych i znękanych?

NICCOLINI.

Oni zawsze

Myśla, iż zdziałasz coś nadzwyczajnego.

SAVONAROLA (więcej do siebie).

I tacy ludzie o mnie sąd wydali...

(do zakonników).

Żegnajcie bracia! Niech was Wszechmogący
Wesprze w tej ciężkiej chwili, co nas czeka,
I duszom naszym da wieczny spoczynek.
Módlcie się, bracia!

DOMENICO (ściskając go).

Wnet się połączymy

Na wieki, mistrzu!

SILVESTRO.

Przez promienne koła
Popłyniem w górę jako w mem widzeniu.
(wchodzi straż i zakonników wyprowadzają).

SCENA VIII.

SAVONAROLA, NICCOLINI, GENIUSZ.

NICCOLINI.

Wzruszenie siły twoje wyczerpało,
Odpocznij chwilę na tem twardem łożu.
Modlić się będę i czuwać przy tobie.

SAVONAROLA (siada na łożu).

O tak, ja jestem śmiertelnie znużony,
Lecz tak spokojny jak chyba w zaraniu.
Mojego życia, gdym na matki łonie
Usypiał. Dziwne, jako mnie w tej chwili
Obległy słodkie dzieciństwa wspomnienia.
Widzę nasz ogórek w uroczej Ferrarze,
Wyniosłych drzew pełen, pełen wonnych
kwiatów,

Które dla matki zrywałem i widzę
Najmilsze, słodkie jej lice zwrócone
Ku mnie, gdy mi swą dłonią miękką, włosy
Zgarniała z czoła i patrząc mi w oczy,
Pytała: „Czemuś ty smutny, mój synu?“
I widzę dziada też postać dostojną.
Gdy na kolanach mię trzymając, jasno,
Przystępnie dla słabej jeszcze malca głowy,
Tłumaczył wszystkie cuda, co na ziemi
Nas otaczają. Te prawa, któremi
Tam powiązane gwiazdy ponad nami.
Następnie uczył, jak poznawać zioła
Te które leczą i te które trują...
Lecz wzrok mój wznosząc ponad ziemię
Tak cudną — umysł młodzieńczy utonął
W świecie nadziemskim Tomasza z Akwinu,
I duch się zbratał z anielskimi chóry,
Którem odnalazł cudnie malowane
Fra Angelica ręką w mym klasztorze.
(pochyla się coraz bardziej, podtrzymywany przez Niccoliniego, opiera głowę o wezgłowie i usypia. Geniusz Italii
w postaci Beatryczy Danta, z palmą w dłoni, staje przy
jego łożu).

GENIUSZ.

Za życia twego bój,
O synu mój,
Błogosławie cię!
Ofiara twojej krwi nie stracona,
Ni dla ojczyzny trud,
Bo wielka twoja dusza natchniona,
Odrodzi włoski lud!
Po wiekach nędzy Italia wstanie,
Oprze się wrogów nawale;
Rzeczywistością twa myśl się stanie,
Odżyjesz w ojczyzny chwale!

(Geniusz znika, — Savonarola śpi z twarzą rozjaśnioną i uśmiechniętą, na którą padają pierwsze promienie jutrzeńki przez okno więzienne. Niccolini patrzy na niego z uwielbieniem i modli się).

SCENA IX.

Ciż, wchodzi GWIDO VESPUCCI, owinięty płaszczem, blade, — twarz jego wyraża złość i ironię. Niccolini na jego widok zrywa się i zasłaniając sobą śpiącego Savonarolę, wstrzymuje go).

NICCOLINI (przyciszonym głosem).

Co chcesz i pociś tu przyszedł, Vespucci?

GWIDO.

Mam pozwolenie Signorii, gdyż chciałem
W ostatniej chwili zobaczyć proroka,
By się przekonać, jak on pewnoś znosi
Niechybnej karni, jak klnie swe szalbierstwo,
Ze wściekłości w bólu się tarza,
I chcę mu rzucić w twarz raz jeszcze słowo.
Iż tak proroków swoich lud nagradza.

NICCOLINI.

Ciszej na Boga, Gwido jesteś w błędzie.
Savonarola zupełnie spokojny,

Pożegnał braci, modlił się i zasnął.
Stokrotnie gorszym byłby od szatana,
Kto by chciał zmacić tę ostatnią chwilę
Przedśmiertną męczennika.

GWIDO (zmienionym głosem).

On się modlił?...

(z wyrazem przerażenia).

Za cóż my go zabili?...

(zbliża się cicho i przypatruje śpiącemu).

Jak spokojny,

Jakie promienne i jasne oblicze!...

Przemawia przez sen...

SAVONAROLA (we śnie).

Włochy zjednoczone,

Potężne, wolne.

GWIDO.

O ojczyźnie marzy,

Nikczemną, podłą spełniliśmy zbrodnię.

(chwytając się za głowę, blade i drżący opiera się o poręcz krzesła).

SAVONAROLA (budząc się).

Gdzie jestem? Jeszcze ponure więzienie,
Tak cudnie śniłem przed chwilą. Italii
Geniusz był przy mnie. Nie płacz Niccolini,
Ja wkrótce będę wolny z oków ziemi,
Ale Florencję, Rzym czeka zniszczenie.
Po latach długich cierpień i niedoli
Italia będzie wolną, zjednoczoną,
Pod berłem królów dostojnego domu.

NICCOLINI (łkając).

Ah! ojcie! ojcie! mamże zgonić twój przeżyć?

SAVONAROLA.

W tym wielkim gmachu odrodzenia będzie
Mój zgonić też cegła.

(Słychać szcęk broni, straż więzienne wchodzi, pozostawiając drzwi otwarte).

SAVONAROLA (idąc ku nim).

Jam na śmierć jest gotów ..

(do Niccolini'ego).

Zegnaj mi, synu!

NICCOLINI.

Do ostatniej chwili

Cię nie opuszczę.

GWIDO.

(drżący i wzruszony, zbliżając się).

Ojcie Hieronimie

Czy ty poznajesz mnie?

SAVONAROLA (bardzo łagodnie).

Gwido Vespucci.

Tak, zwyciężyłeś, panie.

GWIDO. .

Tyś zwyciężać

A ja zgnębiony błagam przebaczenia.

SAVONAROLA.

Niech ci przebaczy Bóg i twa ojczyzna.

(Przez drzwi wchodowe widać cisnący się i wrzeszczący tłum).

GŁOSY WŚRÓD TŁUMU.

Heretyk! oszust! Na stos z nim! na stos!

Śmierć oszustowi. Ha! ha! ha! Niech prorok

Siebie wybawi! niechaj cud uczyni!...

SAVONAROLA.

(cofa się ze wstrętem, idzie do stolika, bierze mały krzyżyk drewniany, patrzy nań chwilę i do ust przyciska).

Zbawiciel znosił też same zniewagi

Od ludu, który pragnął uszczęśliwić,

Przebac im Boże! Florencyi błogosław!

(Savonarola i Niccolini ze strażami wychodzą; na widok Savonaroli tłum milknie i cofa się).

SCENA X.

GWIDO.

(sam, — patrzy za odchodzącym).

Ów plebs florencki przez nas podniecony,

Przez nas noc całą pojony w winiarniach.

Cofnął się drżący, choć na krótką chwilę

Wstrząsnął widokiem męczennika twarzy.

O tak, czarownik on, co świat zwycięża

Największą siłą, bo wielkością duszy!

(słysząc za sceną znów wrzaski tłumu).

Śpi w piersi ludzkiej tygrys okrucieństwa,

Nauką wieszczów, mędrców ukołysan;

Przekleństwo wieków na głowę zbrodniarzy,

Co potwór ony w piersi ludzkiej budzą!

(przykłada przy krześle i głowę ukrywa w rękach).

Życie bym oddał, aby go ocalić

I nic nie mogę, nic... jestem bezsilny.

Tak jak ja teraz, pogrążona w żalu,

Przez długie lata płakać zaślepienia

Florencya będzie, iż w szaleństwa chwili

Zabić swojego prawodawcę dała!

(Zasłona spada).

KONIEC.